Sternik

dwutygodnik dla młodych

Warszawa

ROK II Nr. 11 10-go CZERWCA 1930 R. CENA 50 GROSZY.

NA NOWEJ DRODZE

Co roku powtarza się to samo. Co roku przybywa nowa gromadka ludzi ,,patentowanie dojrzałych", dla których z tą chwilą wszystko zaczyna się od początku. Niepokój i zdenerwowanie ostatnich dni znikły jak mara, wszystkie obkute mądrości zdążyły już wywietrzyć z głowy, a w ręku został papierek — jedyny widomy znak przebytych trudów i włożonej pracy. Żyjecie jeszcze pewno w ciągłem oszołomieniu — jedni was żegnają, inni was witają, wszyscy udzielają rad czasem rad szczerych, serdecznych, czasem frazesów — sami odpowiadacie na te przemówienia, mówicie czasem to, co czujecie, czasem to, co powiedzieć trzeba lub wypada. I płyną naokół was słowa, słowa, słowa... Czasem macie tego dość, idziecie przecież w życie, które niema nic wspólnego z werbalizmem szkoły. Rozumiem aż nadto dobrze i dlatego żałuję, że nie możemy się porozumieć inaczej, tylko również musimy uciec się do słów. I ja jestem jednym z tych, co was witają. Szkolne mury nie widziały mnie już dawno — trzeba było mówić do was ,,my i wy", dziś mogę mówić ,,my". Albowiem bez względu na to, czy chcieliście, czy nie, stanęliście teraz wśród nas — granica się zatarła jesteśmy jednem pokoleniem, pokoleniem młodej Polski.

Nie wiem, w jakiej sferze zagadnień obracaliście się dotąd. Musieliście nieraz rozwiązywać swem życiem problem ,,ja a rodzina", ,,ja a szkoła" może jeszcze szereg innych. Dziś staje przed wami nowy problem: ,,ja a państwo".

Państwo nasze to ta rzeczywistość, która wchodzi w życie każdego z nas, i której my swoje życie poświęcić musimy. Jesteśmy szczęśliwi — żyjemy w czasach, w których tworzą się nowe pojęcia, nowe formy życia. Jesteśmy tymi, którzy je tworzyć będą.

Przeżywają się stare hasła i stare systemy. Przeżywamy kryzys form dotychczasowych — demokratyzmu i parlamentaryzmu, nie znajdziemy ratunku ani w nacjonaliźmie ani w socjaliźmie. Z poszukiwania nowych rozwiązań wyrósł komunizm, który wnosi jednak tyle pierwiastków destrukcyjnych, że grozi zagładą naszej kulturze. Musimy szukać nowych dróg, musimy je sami stworzyć.

Przed nami w życiu rozsnuwają się barwne miraże szczęścia. Karjera, sława, bogactwo uśmiechają się do nas z tych miraży, pragnąc, abyśmy osiągnięciu tego szczęścia poświęcili wszystkie swe siły. Nie odwracamy się od tych marzeń, pragnienie osobistego szczęścia jest silne w każdym z nas, ale w duszy naszej żyją jeszcze inne uczucia i z tych uczuć czynimy nasz wielki młodzieńczy ślub. Czynimy ślub pracy dla państwa, pracy ze wszystkich sił i z całego serca.

Pragniemy swego szczęścia, ale pragniemy też szczęścia innych, a tylko w dobrze zorganizowanem państwie mogą wszyscy to maximum szczęścia osiągnąć. I dlatego ślubujemy sobie, że pracę na rzecz państwa będziemy uważali za swój główny trud życiowy, a poczucie odpowiedzialności za losy państwa będzie normowało każdy nasz krok.

W życiu narodu zorganizowanego w państwo obowiązuje zasada hierarchji jako warunek rozwoju i możliwości działania. Poddajemy się karnie tym, którzy ster rządów w Polsce ujęli w swe ręce, którzy całe swe życie dla walki o wolność, a teraz dla walki o potęgę państwa poświęcili.

Nie znamy się, ale ten ślub nas łączy. Idziemy razem.

W. P.

IMPERIUM ROMANUM

Mowy Mussoliniego w Medjolanie i Florencji, mowy brzemienne groźbą nowej zawieruchy wojennej, skierowaną niedwuznacznie przeciwko Francji, nie są, jakby to można było powierzchownie sądzić, odruchem nerwów dyktatora Włoch po konferencji morskiej, ani też frazesem szowinistycznej przechwałki, ani odpowiedzią człowieka realnego czynu na mgławicowe propozycje Brianda, co do wiązania państw europejskich, w jeszcze jeden związek moralny, mający na celu zabezpieczenie pokoju. Nie — to jeszcze jeden krok naprzód w realizowaniu gigantycznego planu o odbudowaniu Imperium Romanum, którego Włosi — jak przynajmniej twierdzi Mussolini — są jedynymi spadkobiercami.

Ku urzeczywistnieniu swych zamierzeń **Il Duce** posuwa się jednocześnie drogą wychowania obywateli w poczuciu siły i godności własnego Państwa, w ciągłej gotowości wojennej, w przekonaniu, że jedynym środkiem postępu społecznego jest sorelowski gwałt; jednocześnie zaś nie zaniedbywa strony czysto materjalnej, dążąc do wzmożenia i tak już szybkiego we Włoszech przyrostu ludności, powiększając armję i flotę, uposażając je w najnowsze zdobycze techniczne.

Bezpośrednie apetyty dyktatora Włoch skierowane są na kraje zamieszkałe rzekomo w większości przez ludność włoską, jak Sabaudja, Nizza, Korsyka (**Italianissima** — jak mawiają Włosi), Tunis i Maltę. Ale w dalszej perspektywie widzi już Mussolini panowanie swej ojczyzny na wybrzeżu morza Śródziemnego (**„Mare Nostrum“**), aż po góry Pirenejskie, na wybrzeżu Dalmackiem i Albańskiem po Korfu, nad Algierem i Marokkiem.

Bowiem podstawą ideową dzisiejszego imperjalizmu włoskiego nie jest tylko dążenie do ogarnięcia władzą wszystkich ludzi narodowości włoskiej, nie tylko szukanie terenów naturalnego odpływu dla nadmiaru stłoczonej na półwyspie Apenińskim ludności — ale moralne prawo do mocarstwowości, do przewodzenia narodów młodych i zdrowych (t. zn. Italji) nad narodami zgrzybiałemi i zdeprawowanymi (do których zalicza przedewszystkiem Francję).

To też obarcza się wysokiemi podatkami ludzi bezdzietnych i wyznacza się premje dla licznych rodzin poto, aby jeszcze bardziej powiększyć przeludnienie Italji i pchnąć masy ludzkie na drogę niebywałej zewnętrznej ekspansji.

Francja jest rywalką Włoch nietylko dlatego, że panuje nad ziemiami do których Italja rości pretensje, ale przedewrzystkiem przez swój moralny **prestige** zdobyty przez długie lata przewodzenia wśród ludów łacińskich, przez swoje bogactwo, przez posiadanie silnej i bitnej armji i floty.

Włochy, które od czasów swego powstania nie wygrały samodzielnie ani jednej wojny; które pierwsze zjednoczenie zawdzięczają Napoleonowi trzeciemu, a drugie zwycięstwu Prus pod Sadową i które nie mogły sobie dać rady z nielicznemi oddziałami tureckiemi w Trypolitanji, póki Porta Ottomanska, zaatakowana na Bałkanach, sama nie wycofała swych wojsk; które dały się shomotnie pobić przez Etiopów pod Adną i które poniosły druzgocącą kleskę od znacznie słabszych liczebnie wojsk austro-niemieckich, a od zupełnego zniszczenia zostały ocalone jedynie przez szybką interwencję dywizyj francuskich i angielskich — te Włochy dzisiaj, pod przewodem Mussoliniego, karmią się ideologją ultra-militarystyczną, sławią „największe zwycięstwo wojny“ Vittorio - Veneto (pościg za zdemoralizowanemi oddziałami wojsk austro-węgierskich, które z własnej inicjatywy maszerowały już do domu), twierdzą że one to głównie wygrały wojnę i gorzko skarżą się na „niewdzięczność“ sprzymierzeńców.

Nie jesteśmy przeciwnikami Włoch, ani faszyzmu. Na innem miejscu mówiliśmy o wspaniałych rezultatach, jakie osiąga w wychowaniu młodzieży. Dużo też dokonał w dziedzinie odbudowy porządku, bezpieczeństwa i gospodarności kraju. Ale niepodobna zaprzeczyć, że usilnie wytężona akcja propagandowo-militarystyczna faszyzmu musi doprowadzić do zbrojnego konfliktu z Francją. To zaś jest szczególnie niebezpieczne dla nas, gdyż całkowicie pozwala Niemcom odwrócić uwagę od Renu i wszystkie swe, tak szybko odbudowujące się i żądne odwetu siły zwrócić wyłącznie przeciwko nam.

Nikt nie odmówi Włochom prawa dążenia do ogarnięcia wszystkich ziem włoskich, ani do szukania odpływu dla swej zbyt licznej ludności. Ale czy więź pokrewieństwa wyłącznie etnicznego, na jaką się mogą powołać w swych roszczeniach, co do Sabaudji i Korsyki nie jest zbyt słaba.

Sabaudja, oddzielona od Włoch wysokiemi górami, połączona z Francją silnemi węzłami gospodarczymi, komunikacyjnemi, kierunkiem wielkich dolin, odczułaby jako ruinę przyłączenie do „ojczystej“ Italji. Korsyka jest zamieszkała przez szczep, odczuwający wyraźnie różnice etniczne i regjonalne, jednakże z Włochami niczem—prócz języka (djalekt genueński) nie związany, natomiast silnie związany państwowo z Francją, przez niewygasającą tradycję napoleońską. Pewne wątpliwości możnaby jedynie mieć co do pogranicza nicejskiego, którego ludność ciąży narodowościowo ku Italji; jednakże przeciwdziała temu obawa mieszkańców zaznaczonego wybrzeża przed utratą dobrobytu gospodarczego, który zapewnia im Francja.

Jeżeli wreszcie chodzi o Tunis, to istotnie liczba Włochów przewyższa w nim liczbę Francuzów i rośnie z każdym rokiem. Z drugiej jednak strony brać należy pod uwagę ogromną pracę kulturalną i olbrzymie wkłady pieniężne, dzięki którym udało się Francji uczynić z dzikiego i barbarzyńskiego kraju to, czem jest Tunis dzisiaj.

Francja, w której daje się odczuwać po wojnie tak wielki brak rąk do pracy, poszłaby chętnie na duże ustępstwa wobec Włoch, czy to ułatwiając ich osiedlanie się w samej Francji, czy udzielając im koncesyj w olbrzymich posiadłościach zamorskich. Ale Mussoliniemu nie o to chodzi. Według niego dla wielkości i potęgi Włoch konieczna jest wojenna rozgrywka z Francją, konieczne zbudowanie Imperium na zdobyczy. Dzisiaj jeszcze czuje, że Włochy niedorosły do walki z państwem, któremu brak przyrostu naturalnego kompensuje 1500-letnia nieprzerwana tradycja historyczna, olbrzymie bogactwa i sześćdziesięcio-miljonowe imperium kolonjalne. Ale marząc, myśląc o rozgrywce, szykuje się do niej, stara się trzymać Mussolini naród w stanie ciągłego wrzenia, ciągłego nerwowego napięcia. Stąd owe żądanie by Włosi zamieszkali za granicą uzyskiwali obce obywatelstwo, zachowując swe dawne. Francja, której to żądanie głównie dotyczyło, godziła się na ułatwienie naturalizacji pół miljona Włochów kolonizujących dorzecze Garonny, nie mogła się jednak zgodzić na opiekowanie się przedstawicieli dyplomatycznych państwa ościennego nad jej własnymi obywatelami. Na to rząd włoski, popierający poprzednio kolonizację południowej Francji wydał zakaz emigracji. Niezadowolenie ludności stąd wynikłe, zręczna propaganda faszystowska znowu umiała skierować przeciwko sąsiadom.

Stąd owe pomawianie Francuzów, o popieranie ruchów wywrotowych we Włoszech i zamachów na Mussoliniego. Stąd tajemne podsycanie wrogich, a nieraz krwawych demonstracyj przeciw placówkom konsularnym francuskim.

A jeżeliby kogo nie przekonały te fakty, to żeby zerwać ostatnie złudzenia sam Mussolini wygłasza raz po raz mowy tego rodzaju, jaka rozbrzmiała ostatnio z krużganków florenckiego **Pallazzo Vecchio.** Tak przejrzystą zasłoną frazesu, wskazuje wroga — głosi konieczność rozgrywki. Jeszcze kilka, czy kilkanaście lat takiego ciągłego podniecania wojennych nastrojów przez kierunek faszystowski, a rozgrywka stanie się nieuniknioną. Kto wie jednak, czy wcześniej jeszcze rozkiełznany impet militarny Włoch nie skieruje się ku słabszemu od Francji sąsiadowi wschodniemu — Jugosławji. A iskra wojenna rzucona tu czy tam roznieci znów może w całej Europie posępną żagiew wojny.

Witold Sieniawski

Z CYKLU O WYBORZE ZAWODU

EKONOMISTA-PRAKTYK

Życie gospodarcze każdego kraju jest dziś tak skomplikowane, iż doprawdy trudno jest mówić o ekonomiście, jako przedstawicielu pewnego ściśle określonego, praktycznego zawodu, praktycznego, o zgóry wiadomym zakresie działania, wymagającego takich a nie innych kwalifikacyj. Przez słowo ekonomista rozumiemy raczej człowieka, który dzięki wszechstronnej znajomości mechanizmu życia gospodarczego a więc **produkcji,** z klasycznym jej podziałem na trzy zasadnicze czynniki: przyrodę (położenie geograficzne, bogactwa naturalne, gleba, klimat i t. d.), pracę (kwestje ludnościowe, polityka społeczna w najszerszem znaczeniu tego terminu), i kapitał (pieniężny lub wcielony w środki produkcji, urządzenia fabryczne, inwestycje), **wymiany** (handel towarowy i pieniężny, komunikacje), **spożycia** (konsumpcji) oraz **rozdziału dochodu społecznego** (zysk przedsiębiorcy, płace robotnicze), może ze wszystkich tych zjawisk gospodarczych, skomplikowanych i zazębiających się wzajemnie, wysnuwać pewne wnioski i wytyczne na przyszłość, o charakterze mniej lub więcej ogólnym, słuszne i pożyteczne z punktu widzenia danego osobnika lub grupy, do której należy, dla dalszej pracy nad podniesieniem ogólnego dobrobytu, który jest ostatecznym celem działalności gospodarczej każdej normalnej jednostki i każdego zbiorowiska ludzi a więc i państwa. Wykształcenie w tej dziedzinie, jako pewnego rodzaju specjalność, potrzebne jest przedewszystkiem kierownikom polityki gospodarczej każdego państwa, wyższym urzędnikom, dyrektorom (niekoniecznie dyrektorom technicznym) dużych przedsiębiorstw przemysłowych, banków, wielkich domów handlowych wreszcie tym, którzy, idąc drogą naukową, powyższe zjawiska ekonomiczne postawili sobie za cel studjów. Polska nie może się uskarżać na brak ludzi o podobnem ogólnem wykształceniu a więc profesorów ekonomistów i teoretyków nauk gospodarczych o europejskiej sławie, zbyt mało jednak mamy ludzi, którzyby wyspecjalizowali się praktycznie w jednej z dziedzin pracy związanej z gospodarowaniem. naprzykład w handlu. W wielkiej armji, pracującej na froncie wymiany gospodarczej, mamy świetnych wodzów i licznych żołnierzy; brak nam tylko setek oficerów, bez których racjonalna praca rozwijać się nie może. Kupców i pośredników, trudniących się handlem, posiadamy znaczny nadmiar, natomiast prawie że nie istnieje jeszcze typ polskiego eksportera, któryby osobiście zdobywał dla wytwórczości naszej nowe tereny. Samo produkowanie takich czy innych towarów i rozwijanie założonego przed paru laty Państwowego Instytutu Eksportowego na nic się nie zda, jeśli do pracy zagranicą nie staną zastępy setek młodych, energicznych ludzi, którzyby polskie płody rolne i wytwory przemysłu, którego rozbudowywanie jest dla nas koniecznością państwową, sprzedawali przedewszystkiem na dostępnych dla Polski rynkach wschodnich i zamorskich.

Minimalne wykształcenie teoretyczne zagranicznego agenta handlowego lub komiwojażera nie potrzebuje być zbyt rozległe, bowiem wystarczy, gdy składa się na nie gruntowna znajomość jednego conajmniej języka obcego (niemiecki, angielski, hiszpański, którym mówi cała Ameryka na południe od Stanów Zjednoczonych z wyjątkiem portugalskiej Brazylji, lub francuski), buchalterji, arytmetyki handlowej, korespondencji handlowej, w języku polskim i obcym, prawa handlowego (szczególnie wekslowego i czekowego) oraz cywilnego (zobowiązania, kupno—sprzedaż), praw i przepisów monetarnych oraz dotyczących obrotu handlowego, towaroznawstwa i zwyczajów handlowych, które zresztą poznaje się dokładnie dopiero w praktyce. Na podstawie tej, którą łatwo uzyskać w szerszym lub węższym zakresie na każdej handlowej uczelni polskiej, należy przygotować się do pracy na pewnym określonym terenie, albo też wyspecjalizować się w pewnym dziale handlu towarowego, a więc np. w dziedzinie wyrobów włókienniczych czy szklanych.

W pierwszym wypadku celem pracy jest pośredniczenie w imporcie z Polski i sprzedaży wszelkich towarów, jakie tylko na danym rynku, powiedzmy przykładowo w Persji, mogą być zbyte. Przyszły pośrednik w imporcie towarów z Polski do Persji, może się z terenem pracy swej teoretycznie zapoznać dość dokładnie już w kraju, gdzie stoją mu otworem Instytut Wschodni w Warszawie, bibljoteki z książkami w języku polskim i obcych, pismami, mapami, raportami konsularnemi naszych placówek zagranicznych i wydawnictwami Państwowego Instytutu Eksportowego, a gdy po latach kilku wykaże się znajomością terenu, to, dzięki posiadanemu prócz tego wykształceniu kupieckiemu, napewno znajdzie przy pomocy czynników państwowych lub związków eksportowych poszczególnych gałęzi naszego przemysłu, możność wyjazdu zagranicę i osiedlenia się w kraju, z którym od lat związał swe zainteresowania. To zajęcie się jednym, ściśle określonym rynkiem zbytu, ograniczenie się w działalności do jednego państwa lub nawet jego części zalecić można ludziom niebardzo chętnie przerzucającym się z miejsca na miejsce, co nie jest zresztą równoznaczne z brakiem ruchliwości, bez której poświęcać się handlowi wogóle nie warto.

Dla natur lubujących się w ciągłej zmianie miejsca pobytu lepszem byłoby pójście w drugim kierunku — dokładnego zapoznania się z grupą jakichś towarów czy nawet jednym towarem. W tym wypadku konieczna jest doskonała znajomość danego produktu, jego sposobu produkcji, właściwości, zastosowań i t. d. W naszych warunkach nie możemy ubiegać się o dostarczenie zagranicznemu odbiorcy jakiegoś nowego, nieznanego towaru; zaufanie klijenta zdobywać sobie trzeba solidnością towaru lub jego niską ceną, co trudne jest ze względu na stałe możliwości kredytowe naszych eksporterów. Sprzedawca powinien się wykazać znaczną fachowością, by umieć towar swój „wprowadzić" na rynek, odpowiednio rozreklamować go a raz zdobyty rynek uchronić przed konkurencję ze strony importerów z państw innych.

Bliski i daleki Wschód, Afryka i kraje słabo zaludnione Ameryki Południowej — stanowią teren działalności dla pierwszego z opisanych tu przedstawicieli zawodu agenta handlowego, bowiem dzięki niskiej kulturze materjalnej tych ziem można liczyć na zbyt w nich mniejszej ilości artykułów różnego rodzaju. Agent handlowy, wyspecjalizowany w jednej dziedzinie może pracować w krajach Europy, Ameryki Północnej i Australji, gdzie bardziej zróżniczkowane życie gospodarcze pozwala wprowadzać na rynek w znacznych ilościach artykuł jednego rodzaju.

Przygotowywać się do zawodu handlowego agenta zagranicznego może niekoniecznie ten, kto ma lub będzie miał od rodziny pieniądze, dozwalające na prowadzenie interesów odrazu na własny rachunek lub przynajmniej pozwalające na pokrywanie własnych kosztów w początkach pracy, co znacznie ją ułatwia, lecz również każdy, kto nie rozporządza żadnemi środkami pieniężnemi. Wspomniałem już o ułatwieniach, jakie czynią tego rodzaju ludziom instytucje publiczne i firmy eksportowe, których jest w Polsce około tysiąca, wliczając w to zakłady przemysłowe, pracujące choć w części na rynek zagraniczny, związki eksportowe przemysłowców, producentów rolnych i kupców. Wszystkie te instytucje wywożą z Polski wciągu lat wielu towary wartości miljardów złotych, jednak w ogromnej większości wypadków posługują się obcem, przedewszystkiem niemieckiem, pośrednictwem, czerpiącem stąd setki miljonów. Wszystkie niemal te firmy eksportowe bardzo chętnie popierają Polaków, pragnących pracować w tej dziedzinie, natrafiają jednak na ciągły brak ludzi. Taki stan rzeczy sprawia, iż pośrednik obcokrajowiec sprzedaje przedewszystkiem towary, pochodzące z własnej ojczyzny a potem dopiero — pochodzące od obcych, zwłaszcza gdy jak teraz zdolność nabywcza na całym świecie pogorszyła się a jednocześnie intensywnie produkujące państwa Europy

i Ameryki Północnej starają się rzucić na obce rynki więcej towarów, niż w czasach pomyślnej konjunktury. Przytem eksport z Polski zwłaszcza na rynki zamorskie nie posiada charfakteru zjawiska stałego, bowiem niema ludzi, osobiście zainteresowanych w tem by import z Polski do jakiegoś kraju był stale, równomiernie podtrzymywany.

Zajęcie się handlem eksportowym, początkowo drogą zbierania zamówień na miejscu, pośredniczenia w tranzakcjach wreszcie prowadzenia ich na własny rachunek czyli zajęcie agenta handlowego, osiągającego po latach niezależność materjalną jest zawodem, który doprawdy trudno porównywać z tak rozpowszechnionym u nas pędem ku stanowiskom urzędniczym. Typ urzędnika nawet na wyższem stanowisku, który rekrutuje się z większości absolwentów wyższych handlowych uczelni polskich, jest typem mniej pożądanym, od dzielnego agenta handlowego z tem samem wykształceniem. Każdy urzędnik przyzwyczaja się do stałego przebywania w jednem i tem samem miejscu i choć pracować może z największą nawet korzyścią dla swej instytucji, staje się po latach jej niewolnikiem: zaczyna liczyć na emeryturę w późniejszym wieku, ustawowy awans co parę lat, wreszcie tak wdraża się w swą pracę, iż nie może jej porzucić lub zmienić bez względu na to, czy jest z niej całkowicie zadowolony, czy też nie. Agent handlowy jest od początku swej karjery człowiekiem niezależnym, który nieraz spotyka się z poważnemi niepowodzeniami a nawet niedostatkiem, jednak, dzięki zajęciu wymagającemu stałego napięcia uwagi i energji, ciągłej walki z konkurentami i interesowania się bieżącemi zagadnieniami gospodarczemi po latach przy pewnej pracowitości i ruchliwości dojść może do dość znacznego dobrobytu. Bogactwo nie powinno być celem życia, jednak zwiększanie własnego majątku przez uczciwą a pożyteczną dla ojczyzny pracę może być z punktu widzenia społecznego jak najgoręcej zalecone. Nie można u nas uzyskać niezależności materjalnej (chodzi tu o niezależność od pracodawcy a nie samodzielność) na takiem czy innem stanowisku urzędniczem, do czego przyczynia się niski stan zarobków, na którego wydatne powiększenie się, wobec nadprodukcji pracowników umysłowych, liczyć w bliższej przyszłości doprawdy trudno, kto niezależność tę pragnie osiągnąć, niech próbuje swych sił w zawodzie agenta handlowego, komisjonera a po latach niezależnego kupca eksportera. Należy pamiętać, że zamożność jest rzadko wynikiem szczęśliwego zbiegu okoliczności, najczęściej pochodzi ze żmudnej pracy jednostki. W handlu łatwiej o zdobycie jej niż gdzie indziej.

Nie chcę, by z tego, co napisałem Czytelnicy zrozumieli, iż namawiam ludzi młodych, silnych i energicznych do porzucania kraju. Chodzi tu tylko o konieczność rozumienia tego, że musi się znaleźć ktoś, kto uzupełni ostatnie, najbardziej może szwankujące ogniwo naszej gospodarki narodowej. Sprzedawca polskich tkanin w Brazylji czy w Chinach, wykonywa ważną funkcję gospodarczą: zbywa to, co wymyślił mózg polskiego inżyniera a wykonała ręka polskiego robotnika, stanowi ostatnie ogniwo w łańcuchu polskiej pracy. Motywem działania ma być u światłego agenta handlowego świadomość łączności z organizmem gospodarczym kraju i przeświadczenie, że od jego energji i zapobiegliwości zależy nietylko większa lub mniejsza suma obrotu handlowego, lecz również los robotników i pracowników umysłowych w kraju. Kilkanaście sztuk materji sprzedanej nabywcy o tysiące kilometrów od granic Rzeczypospolitej daje pracę dzienną kilku robotnikom, tysiące sztuk — setkom. Niemcy i Czesi nie uważają sobie za ujmę sprzedawania np. paciorków szklanych, w które ten ostatni kraj zaopatruje Azję i Afrykę, zarabiając na tem wiele miljonów koron. Od lat wielu tysiące przedstawicieli tych narodów, na wzór Anglików i Holendrów, na całym świecie ułatwia pracę i podnosi dobrobyt tysięcy swych rodaków w ojczyźnie. Są to pionierzy postępu materjalnego i ekspansji gospodarczej; Polaków wśród nich prawie że niema.

Wiesław Arlet

MARTIN EDEN

Rosły chłopak w pomiętym na głowie Stetsonie
Ręce w kułak zwinięte wparł w kieszenie spodni.
Lata bujnej młodości, tak niezaprzeczenie
Najpiękniejsze w twem życiu, gdy byłeś swobodny!

A potem Ją poznałeś, Panią z poematu,
Niezwykły obłęd chwycił twoje serce młode —
Dorównać tej istocie wrażliwszej od kwiatu,
Zdobyć Ją, jako życia najwyższą nagrodę...

Miesiące żmudnej pracy, gdy radosne chwile
Dawała tylko miłość, najsłodsze z twych przeżyć
I z całym światem walka w nędzy i bezsile...
Sam już prawie w swą przyszłość przestawałeś wierzyć!

O jakżeś się tragicznie, jak ofiarnie spalił,
Choć pełen byłeś siły niezmiernej genjuszu,
Na ołtarzu bezmyślnej filisterskiej lali;
Jak cię ten dziwny płomień przepalił i skruszył!

A kiedyś siły stargał, gdy runął świat czarów
Zwalony drobną ręką kobiety bez serca,
Uśmiechając się tępo los, niemy szyderca,
Cisnął w twarz męczennika garściami dolarów!

. . . .

Niezmierna męko życia ze sławy brzemieniem,
Okrutna głucha pustko w wydarzeń natłoku,
Jakiem ciebie tragicznem nazywać imieniem?
Droga życia skończona. Dalej, ani kroku!

. . . .

Widzę, jak się pogrążasz w cichym oceanie
W modro-seledynową, chłodną toń spowity;
Żegnaj Mart, stary druhu i niech ci nie stanie
Na drodze ku nicości srebrny błysk bonity!...

Michał Ochorowicz



Patrz „Konkurs dla znawców architektury starożytn." na str. 16.

Tam, gdzie rozmawia Kmicic z Judymem

Okres młodości — to dzieje intensywnego uczenia się świata i uczenia się siebie. Przed oczyma, które do niedawna patrzały tylko w świat zabawek i bajki staje naraz rzeczywistość piękna i dręcząca, ale przedewszystkiem domagająca się znalezienia do niej drogi, ustalenia wzajemnego stosunku. W każdym młodym, rozwijającym się człowieku powstaje rodzące się samorzutnie ,,zdziwienie światem" zdziwienie, które stoi u kolebki każdej filozofji. To zdziwienie rzeczywistością idzie w dwóch kierunkach: albo ku zainteresowaniu światem zewnętrznym, objektywnym, albo też zstępuje niejako w głąb: ku naszej duszy. Zainteresowanie sobą tem, co się w nas dzieje, jest nieodzownym czynnikiem pogłębienia naszego stosunku do świata. Nie należy lekceważyć siebie. Tylko przez wyrobienie w sobie znajomości naszego własnego osobistego świata wewnętrznego można znaleźć silne oparcie dla pracy, której chcemy poświęcić życie.

Przypomnijmy sobie nasze dzieciństwo. Nagle, w sposób nieunikniony i bolesny rozszerzało się nam serce litością nad Koszałkiem-Opałkiem, który nie mógł na zimę wrócić do Krasnoludków. Wzrastała wtedy w nas jakgdyby pojemność serca, mogliśmy znaleźć w niem miejsce dla wielu uczuć subtelnych i delikatnych, które kiedyś potem, gdy się wzmocniły i rozrosły, utworzyły tło dla mocnych jak nakaz i wstrząsających, jak widok nędzy książek Żeromskiego.

W dzieciństwie— tylko przypomnijmy sobie dobrze — rozmawialiśmy nietylko z naszem rodzeństwem, ale i z Margerie, która nie mogła odszukać swego ojca i pragnęliśmy zemścić się na okrutnym Horacym, który ją zamknął w pokoju w niebezpiecznym psem. Potem z Margerie zaczęła się bawić Nel, która nigdy nie robiła jej krzywdy — a dwaj bracia Stać Tarkowski i Reginald Gray zawiązali ze sobą dozgonną przyjaźń. Gdy przebywaliśmy w ich towarzystwie odczuwaliśmy dumę, że mamy takich znajomych. Ich odwaga i szlachetność opromieniała nas samych, czyniła nasze życie bogatszem przez samo ich istnienie. To nic, że żyli oni tylko w myśli: przecież nie przyszło nam chyba nigdy do głowy, że dzieje ,,Chłopców z placu Broni" nie są dziejami naszych kolegów, a ,,Robinson Kruzoe" przechodził przecież nasze własne, nie cudze i zmyślone przygody. Pokazywał nam nie to, co przytrafiło się kiedyś i gdzieś jemu samemu, ale czem moglibyśmy być my sami.

Rozrasta się w ten sposób nasza wiedza o człowieku, o tych możliwościach, które w nas tkwią zaledwie w zawiązku a gdzieindziej rozwinęły się w całej pełni. Znajdujemy w książce dwie rzeczy: to czem jesteśmy i to, czem nie jesteśmy wcale. W pierwszym wypadku drobne sprawy życiowe, uczucia i myśli — jakby zupełnie własne, z naszego życia wzięte, ukazywały się naszym oczom w nowej formie; wtedy powstawało w nas zdziwienie i może nawet niepokój, że ktoś — jakiś daleki autor czuje, myśli i żyje tak, jak my. Pryskało wtedy w naszych oczach złudzenie, że jesteśmy zupełnie inni, do nikogo niepodobni w każdej swojej myśli oryginalni. To zniweczenie złudzenia było może przykre, ale też z za niego wysuwała się nagle wyswobodzona radość ludzkiej wspólnoty, przyjaźni i solidarności z takiemi, jak my.

Kiedy nasycimy się już atmosferą rzeczy i ludzi znanych, kiedy wchłoniemy w siebie różne szczegóły życia szkolnego i domowego, wtedy chętnie — wyruszamy na podbój świata. Jeżeli drogę z domu do szkoły odbywa się tramwajem, albo kiedy zajmuje nam tyle czasu, co przejście od Żórawiej do Wspólnej, chętnie wyobrażamy sobie jazdę na nartach do dalekiej szkoły. Po przyjściu z pracy, niezłomnie i niezawodnie czeka nas obiad — ach, jak przyjemnie jest myśleć, że jesteśmy w puszczy głodni i zmarznięci, osaczeni tysiącem niebezpieczeństw. Na noc (śpimy w wygodnem łóżku) rozbijamy namiot, ogradzamy go ogniem od dzikich zwierząt, albo zawijamy się po szyję w skórzane worki, układając się w gwiazdę koło ogniska. Nie lubimy herbaty lub mleka, które możemy dostać każdej chwili: chcielibyśmy czuć w sobie piekło straszliwego pragnienia i być właśnie tym, który ostatni łyk wody oddaje przyjacielowi. Często też, jeżeli trochę niepewnie czujemy się(to już dawno, dawno temu) w ciemnym pokoju — wyobrażamy sobie, że bohatersko brniemy w nocy przez las po pomoc dla zagrożonych. To wszystko mamy — dzięki książce. W ten sposób zwiększamy swoją duchową pojemność, pogłębiamy ją przez lepsze poznawanie swojego ja i własnych warunków — i poszerzamy się przez wiedzę o człowieku innym, niż my i żyjącym inaczej.

Powoli wzrasta w naszej duszy jakaś dziwna wewnętrzna rodzina. Panuje w niej — na pozór — niesłychane zamieszanie: Judyma strofuje Wokulski, a Rafał sprzymierza się z Kmicicem. Nienaski nie chce rozmawić z Połanieckim, ale opiekuje się ,,Jankiem Muzykantem", Agnieszka Blizbor zwierza wszystko rozumiejącej Joasi swoje smutne sprawy. W każdym z nas ta rodzina jest inna. Czy to jest dziełem przypadku? W pewnym, drobnym stopniu tak jest istotnie. Czasami poprostu dlatego naraz ,,zdobywamy" jakiegoś powieściowego przyjaciela, że dana książka wpadła nam do ręki. Ale już w obrębie znanych utworów sami na mocy nietylko naszych upodobań, ale i naszego charakteru dokonywamy wyboru. Prawdziwa przyjaźń, głębokie i pełne radości współżycie powstaje wtedy, gdy do jednej i tej samej książki wracamy wielokrotnie. Wtedy naprawdę skala naszych wewnętrznych doświadczeń poszerza się o doświadczenia bohatera, którego losy nas interesują.

Przez wewnętrzny stały kontakt z postaciami ulubionych książek wytwarza się w nas pewna wewnętrzna atmosfera, która w dużej mierze może wpłynąć na uformowanie naszego charakteru, a przez to wielekroć i naszego losu. Przedewszystkiem ta atmosfera może być pod względem etycznym i estetycznym — wysoka lub niska. Na tem polega dobro i zło wpływu książki. Jeżeli często obcujemy z postaciami, których czyny i życie mogą nas ciekawić, ale nie podobają nam się — możemy łatwo przyzwyczaić się do atmosfery kłamstwa i zła, szpetoty moralnej, ciasnoty horyzontów myślowych. Niepostrzeżenie nasza niechęć do danych postaci zmienia się w nieczułość i przyzwyczajenie. Powoli rodzi się z tego przyzwolenie na czyny i postępki, które raziły nas przedtem. Ta zgoda na nikczemność ludzi, o których tylko czytamy otwiera nam drogę do zgody na własne ujemne cechy charakteru.

Dzieje się wprost przeciwnie, jeżeli jakość życia i myśli ulubionych przez nas bohaterów, naszej wewnętrznej rodziny, jest wysoka. Tutaj przyzwyczajenie do dobra staje się zupełnie pozytywną i twórczą wartością w kształtowaniu nowego ,,ja".

Tak więc — ta nasza fikcyjna, książkowa rodzina wywiera na nas wpływ inną idący drogą, ale podobny do działania naszych rodziców, sióstr i braci. Prawa jej życia są podobne do życia naszego domu: panuje w niej pewna hierarchja; są tam tacy, których szanujemy i tacy, których się trochę wstydzimy, — przewodnicy i ci, dla których chcielibyśmy tylko być dobrzy. Niedobrze jest, jeżeli do ,,rodziny" wprowadzamy ,,ludzi" bez wyboru: to goście ze złej książki. Wtedy jesteśmy zdrajcami. Dopuściliśmy do siebie wrogów, bo nas przekupili. Czem? Pozorami rzeczy interesujących i ciekawych, pod któremi kryje się zgnilizna.

Śmierć nie oszczędza i tego niematerjalnego świata. Tylko tutaj nigdy nie działa ona gwałtownie. Niepostrzeżenie odchodzą, gdzień się oddalają ci, których kochaliśmy dawniej. Miejsca ich zajmują inni: upodobania nasze są zmienne.

Ale mimo tej płynności i ciągłej zmiany jest tu coś stałego: wpływ tego świata na nas. Trzeba tylko rozgarnąć zwierzchnie mroki niechęci i lenistwa, a zobaczymy tę żyjącą w nas, a czarującą krainę.

ir-icz.

PIĘĆ DNI W SERCU GÓR

Wciąż jeszcze słaby jest nasz ruch turystyczny w stosunku do możliwości, jakie przed nami stoją, i walorów, jakie posiada nasz kraj. Wiele okolic Polski, bardzo godnych zobaczenia i nawet bliższego poznania, leży zdala od ucierających się zwolna szlaków turystycznych. Dotyczy to zwłaszcza naszych terytorjów wschodnich, zresztą nie wyłącznie. Niedawno zwracałem uwagę Młodych Miłośników morza na „zaniedbany szlak wycieczkowy" w Augustowszczyźnie („Morze" — „Młody Żeglarz", Nr. 9—10 z r. 1929). Ale nawet na szlakach utartych lub względnie utartych wiele jest jeszcze do zobaczenia rzeczy, które niewiadomo dlaczego, rzadko bywają oglądane — przynajmniej w swym całokształcie.

Pragnę omówić tu jedną z licznych zresztą wycieczek górskich, szczególnie polecenia godną dla tych osób, które, rozporządzając względnem zdrowiem i pewną wytrzymałością w marszu, ale za to niezbyt wielką ilością czasu i pieniędzy, chciałyby jaknajwięcej zobaczyć w górach. Cały ten szlak wycieczkowy, o którym będzie mowa, z punktu widzenia alpinistyczno-taterniczego jest więcej niż „łatwy" (według skali określeń przewodników po Tatrach). Amatorom karkołomnego wspinania się i zdobywania niedostępnych szczytów emocyj pożądanych z pewnością niedostarczy. Za to nieraz — zwłaszcza jeśli pogoda będzie „urozmaicona" w zachwyt szczery wprawi (— choć może i o stek brzydkich przekleństw przyprawi —) amatora pięknych krajobrazów górskich. Zainteresuje niewątpliwie każdego, kto naprawdę rozmiłowany jest w górach, choćby to był nielada bywalec po szerokim świecie.

Wysokość gór nie decyduje w ostatniej instancji o ich piękności. Na piękność tę składają się wielorakie czynniki, subjektywnej i objektywnej w stosunku do widza natury. Nie czas tu i nie miejsce na filozoficzne o pięknie gór rozważania; nie próbując ich przeto, nadmienię tylko, że dość znam Tatry, nic przez to w oczach moich nie straciły „pagórki" karpackie; że gdym ujrzał inne, wyższe od Tatr naszych góry, — w zestawieniu z niemi raczej nasze Tatry wysokie niźli owe „pagórki" straciły te i owe ze swych licznych uroków (choć może bliższe się stały i droższe). Ogrom przestrzeni, — rzecz, która najmocniej chyba uderza widza przy pierwszem zetknięciu się z krajobrazem górskim — ogrom ten, jakaś olbrzymia, nieoczekiwana, upajająca niespodziewaną realnością swej zjawy pełnia przestworu, o której pojęcia nie daje nawet morze, nie imponuje już w Tatrach, gdy się widziało np. doliny Grindelwaldu ze zboczy Jungfrau. Ale też ten właśnie bardzo ważny czynnik, składający się na całość wrażeń, odbieranych w górach wysokich, stosunkowo podrzędniejszą rolę odgrywa w górach niższych. A do nich się przecie wybieramy.

Jeśli zrezygnujemy z obejrzenia góry Baraniej (ze źródłami Wisły), leżącej zbyt daleko od zasadniczego naszego szlaku, tudzież dość wysokiej góry Pilska (1557 m.), którą łatwo można włączyć do tego szlaku bez zbytecznego przedłużania wycieczki, ale która leży już poza granicami Polski, to spacer nasz zacząć możemy albo w Lachowicach (pierwsza stacja od Suchej na szlaku Sucha — Żywiec) albo w Hucisku (druga stacja od Suchej na tymże szlaku). Bliższa i wygodniejsza jest droga z Huciska szczególnie ładną jest jej część, wiodąca mocno zalesionemi (jodły i duże partje lasów czysto bukowych) zboczami wzgórz, sąsiadujących z Jałowcem. Droga jednak z Lachowic, jeśli ze stacji skierować się wprost na szczyt Solniska (848, między wsiami: Lachowice i Stryszawa) i dalej iść już grzbietami wzgórz aż na Jałowiec (1110), choć znacznie mniej uczęszczana, bardziej godna jest polecenia ze względu na wyjątkowo piękny widok na górną Zawoję i Babią, jaki się ma z grzbietu Solniska. (Jedyny to zresztą widok na Babią z dróg, prowadzących do niej od północnego i mało znany z zachodu. Na innych odcinkach przysłania ją to Jałowiec. to inne szczyty. Babia, widziana stąd w całej swej okazałości, prawie wprost z północy, przedstawia się w innym zgoła kształcie, niż ów typowy stożek, widziany zwykle z kierunków wschodnich. Wygląda bardzo efektownie).

Pod szczytem Jałowca łączą się drogi z Lachowic i Huciska (ostatnia znakowana). Odtąd, mogąc się kierować znakami, grzbietami przeważnie, częściowo zalesionemi zboczami wciąż potężniejącego masywu Babiogórskiego, poprzez szczyty Mądralowej (1170) i Brany (1517), kilkakrotnie zmuszani do opuszczania się na przełęcze i zdobywania coraz wyższych wyniosłości, zmierzamy ku Babiej. Droga, przechodząc na znacznej części szlaku w ścieżkę pieszą, prowadzi samą granicą czesko-polską lub w jej pobliżu. Cała piękna bardzo, szczególną pięknością — ze względu na rozległość i urozmaicenie widoku — odznacza się w okolicach Brany. Pod koniec, już niezbyt daleko od szczytu, zbaczamy zlekka na lewo i wstępujemy na drogę, prowadzącą z Zawoi, by pierwszy dzień wycieczki — jeśli zaczęliśmy ją dość wczesnym rankiem, a jesteśmy dość wytrzymali w marszu — zakończyć noclegiem w polskiem schronisku pod Babią.

Stąd następnego dnia — przed świtem, jeśli zdołamy podnieść się po trudach wczorajszych — ruszamy na szczyt, niezbyt odległy, by trafić tam na wschód słońca (nigdy mi się to nie udało, choć — wyjątkowo — nie skutkiem ospalstwa). Pod samym szczytem, od strony południowej, mamy na wszelki wypadek do rozporządzenia drugie schronisko, bardziej efektowne, o wyglądzie wysokogórskim, dopasowanym zresztą ściśle do tego kamienistego, bezleśnego już pustkowia, które rozciąga się dokoło samego szczytu Babiej. (Zbocza tej potężnej góry, pojącej swemi obfitemi źródłami Sałę, Skawę i Orawę, są dość jeszcze gęsto zalesione, choć już za mojej pamięci niszczący topór srogie porobił tu szczerby). Jest to schronisko t. zw. niemieckie (Beskidenvereinu), które bardzo się może przydać podróżnym nawet rankiem, ze względu na częste deszcze, padające na Babiej. Szkoda przecie opuszczać jej szczyt, nic zeń nie ujrzawszy! Piszący te słowa był może z 10 razy na tym szczycie, a raz tylko mógł się nacieszyć widokiem z niego — i to po przespaniu w schronisku kilkogodzinnego ulewnego porannego deszczu.

Widok z Babiej nie jest może „ładny", jest za to niewątpliwie jednym z najbardziej imponujących i najciekawszych widoków szczytowych ze względu na swą niezmierną rozległość (rozleglejszego nie widziałem w Polsce); Babia bowiem jest jedyną tak znaczną wyniosłością (1725 m.) w całym Beskidzie Zachodnim i niepomiernie góruje nad wszystkiemi swemi sąsiadkami, które przeto nie mogą przesłaniać dalszych planów. Pod tym względem widok z Babiej jest ciekawszy nawet od widoku z wielkich szczytów tatrzańskich, choć co do piękności i grozy (np. widok z Rysów) może im ustępować. Tatry widać stąd doskonale na południowym wschodzie i białe ich zęby tworzą dość okazałą „piłę" na horyzoncie.

Wymarsz z Babiej może—przy sprzyjających okolicznościach i jeśli taka wola—nastąpić tegoż dnia. Zależnie od czasu i stopnia wytrzymałości wędrowców dwie są drogi do wyboru: do st. Maków (szlak: Sucha — Nowy Targ) — ciekawa tylko w swych górnych partjach, poza tem dość nudna, prowadząca przez olbrzymią wieś Zawoję, połączoną z Makowem szosą. W razie zmęczenia drogę tę można odbyć autobusem. Druga droga, nierównie ciekawsza obfitująca w szereg nowych, pięknych a różnych od poznanych dotąd widoków, jest też nierównie trudniejsza. Wiedzie ona ciągle grzbietami wzgórz, łączących się z masywem babiogórskim (najwyższa z nich — Polija, 1367), wymaga kilkakrotnego pokonania dość dużych wyniosłości z powodu znacznej różnicy poziomów poszczególnych jej odcinków. Odbywałem ją z nielicznem ale wesołem towarzystwem właśnie owego dnia, kiedy to Babia była na nas tak łaskawa. Sprawiedliwe



Dunajec w Pieninach

niebo kazało nam jednak zapłacić za tę łaskę wyjątkową: już z Babiej schodziliśmy (grzbietem, przez punkty 1617 i 1521 na Sokolicę, droga wśród kosodrzewiny) pod niezapomnianem wrażeniem grozy gromadzących się nad okolicą czarnych chmur, a od Policy począwszy, szliśmy już przez wspaniałe tamtejsze lasy pod ciągłym deszczem rzęsistym i przy stałym akompanjamencie piorunów. Przyjemnie wspomina się takie marsze, trzeba tylko zmoknąć gruntownie, by nadal nic sobie nie robić z deszczu.

Osielec, do którego dochodzi się tą drogą, jest stacyjką na tym samym szlaku, co i Maków. Najlepiej jest trafić na pociąg, który na nocleg przewiezie nas do pobliskiej Chabówki (względnie Rabki; godny widzenia stary kościół drewniany). Tu kończymy drugi (czy inny) dzień wycieczki dobrze zasłużonym wypoczynkiem.

Nazajutrz ruszamy ku Gorcom, mając parę dróg do wyboru. Najlepiej jest ruszyć wprost doliną potoku Ponickiego (Ponicanki) — w górę — stąd na wyniosłości, położone na wschód od wsi Ponice (p. 940, potem p. 1027, dalej grzbietem). Wchodzimy niebawem na szczyt masywu Gorców i kierujemy się na wschód ku najwyższemu tu szczytowi, Turbaczowi, (inaczej Niedźwiedź, 1311). Jesteśmy w kraju, tylekroć opiewanym przez Orkana, i z pewnością nie pożałujemy naszej tu wizyty. Jakieś tchnienie prawieków przeciąga przez tę ziemię. Nie sztucznie, ale jakimś naturalnym nawrotem wspomnień, podszeptem zapomnianych instynktów, — tym samym, co nad Siklawą w dolinie Roztoki tatrzańskiej każe „rozmawiać z Bogiem" — przenosimy się myślą w świat i czasy pięknej powieści Orkana „Drzewiej". W miarę jak posuwamy się ku Turbaczowi, coraz wspanialszym staje się widok: z lewej — północnej — strony mamy przed sobą morze lasów nieprzebrane. Nigdzie las nie zrobił na mnie takiego wrażenia, nawet w przedwojennej puszczy Białowieskiej — nigdzie nie obejmuje się wzrokiem takich jego olbrzymich przestrzeni. Jest to dosłownie morze, wzbałwanione, potężne morze olbrzymich pagórów, ciągnących się, dokąd oko sięgnie, i wszędzie, na całej przestrzeni, porośniętych starodrzewem. A jeśli się Państwo pomodlicie przed wycieczką o deszcz — i prośba Wasza będzie wysłuchana — to widok z prawej, południowej strony (koniecznie po burzy, — jakże ja tam zmokłem! — dobrze na krótko przed zachodem) nie może Was nie zachwycić: jest to stanowczo jedna z najpiękniejszych — jeśli nie najpiękniejsza — panorama Tatr od północy. Tatry widać stąd w całej ich okazałości, majestacie i przepychu (po burzy! zachód słońca!) poprzez dolinę nowotarską (Dunajca), rozciągającą się pomiędzy niemi a Gorcami.

Jeśli nie ujarzmi Was i nie zatrzyma urok Turbacza i Gorców, to tegoż dnia zstąpicie w dolinę Dunajca. (Czwarte to już zrzędu większe dorzecze, w które wstępujecie: po dorzeczu Sały Skawy i Raby). Możecie dojść na noc do Czorsztyna, ale trzeba się śpieszyć, a podrodze nieprzyzwoicie byłoby pominąć Dębno z jednym z najpiękniejszych kościołków drewnianych na Podhalu. Więc... zrobicie, jak Wam dogodniej.

Nazajutrz — przy największym pośpiechu i sprzyjających niezmiennie warunkach — zaczęlibyśmy czwarty dzień wycieczki. Dotąd szliśmy forsownie; trzeba sobie trochę pofolgować. Teren nadaje się do tego.

Więc zaczynamy od wdrapania się na zamek czorsztyński, tylą wspomnień sławny, dziś w gruzach leżących. Lecz wzruszeniem i miłością przejmują te gruzy. Jeśli Was równie zachwyci to miejsce, jak mnie, to przez czas dłuższy odpoczniecie sobie na stromem wzgórzu zamkowem (u stóp pyszne źródło!), podziwiając wspaniały krajobraz z fantastycznie wijącą się wstęgą Dunajca, jaki roztacza się z tego jedynego w swoim rodzaju orlego czy zbójnickiego gniazda. Pysznie tu gospodarzyć musieli zbójcy, którzy pokilkakroć zamkiem owładnęli, a raz go opanowawszy, długo się na nim osiedzieć potrafili.

Niedaleko za cudnym już tu, zielono-modrym Dunajem widnieje druga strażnica kresowa dawnej Rzplitej, dziś po czeskosłowackiej stronie leżąca: Niedzica. Można i tam zajrzeć: zamek lepiej zachowany, miejsce mniej piękne. (Trzeci zamek okoliczny, Frydman, widać z Czorsztyńskiego).

Teraz marsz niezbyt męczący do Sromowiec Niżnych. Tu jeszcze jeden, niezbyt wielki wysiłek: wspięcie się na Trzy Korony, najwyższy szczyt Pienin. Jeśli nie widzieliście Państwo przedtem wysokich gór, doznacie tu nielada emocyj, choć szczycik to „mizerny", zaledwie 982 m. Weszliście w kraj gór wapiennych — o postrzępionych szczytach i zboczach, o prostopadłych ścianach, o fantastycznych zgoła kształtach, wyrzeźbionych przez wodę, wiatr i mróz.

Po zejściu ze szczytu wsiadacie do zamówionych przedtem łodzi i odbywacie słynną przejażdżkę Dunajcem przez cały baśniowy świat Pienin. Nie próbuję opisywać wam tego: przekonajcie się sami. Wysiadamy w Szczawnicy, mniej zmęczeni marszem dnia tego, lecz z pewnością niemniej syci wrażeń.

Tu, w okolicy, znów tyle pokus! Tyle chciałoby się zobaczyć, tyle pokazać na polskiej i na czeskiej stronie (np. słynna grota Aksamitka). Ale wycieczka miała być krótka. Tedy dnia następnego, po obejrzeniu Szczawnicy i wyprobowaniu wód tamtejszych — znów dalej w drogę.

I znów dróg kilka przed nami — a każda co innego obiecuje. Cóż, decyduję za Was i wybieram drogę na Piwniczną: ze Szczawnicy Wyżnej idziemy na Szlachtową (wieś ruska) i Jaworki: tu nie zapomnimy obejrzeć wąwozu, zwanego Homole (na prawo od drogi). U wejścia doń może pomyślicie, że jesteście w Pirenejach, jeśli przyjdą Wam w porę na pamięć opisy tych gór, znane z lekcyj geografji. Dobrze sobie wypoczniecie w tym wąwozie pięknym; wody, jak wszędzie zresztą w tych górach, poddostatkiem. Prześliczne miejsce na obozowisko (może być i kąpiel, ale bardzo zimna!).

A teraz — ostatni marsz, tegoż dnia: z Jaworek na Obidzę, stąd doliną Czerczy (inaczej Kosarzyską) do Piwniczej. I oto jesteście nad Popradem, najbystrzejszą chyba z naszych rzek, jeśli nie liczyć wschodnio małopolskiego Czeremosza. Stale mętna, nie tak jak Dunajec, który w okresie pogody szybko przywdziewa swój płaszcz zielonomodry. A kąpiel jaka w obu? Sprawdźcie sami, jeśli pora sprzyja.

W „królewskiem wolnem mieście Piwniczej" (przypomnijcie sobie, choć pod koniec, i o historji, wspomnijcie wdzięcznie Wielkiego Kazimierza, króla iodczytajcie napisy na studni w rynku miasteczka), kończymy naszą wycieczkę, — mam nadzieję, z żalem. Jesteście na szlaku kolejowym Nowy Sącz — Krynica. Macie-li jeszcze czas? — drogę macie otwartą w obie strony. Lecz ja się już żegnam z Wami. Na rozstanie jedna rada: jeśli się tu zatrzymacie, to nie poprzestając na rzeczach ogólnie znanych, które Wam tu każdy wskaże, zajrzyjcie jeszcze do Rytra (stacja kolejowa) i obejrzyjcie Roztokę tamtejszą. A może wówczas nie oprzecie się pokusie odbycia z powrotem całej naszej wycieczki, w kierunku odwrotnym z innemi drogami. Nie będę Wam tego odradzał z pewnością!

J. P. Dąbrowski



Patrz „Konkurs dla znawców architektury starożytnej" str. 16

WALKA POKOLEŃ

Istnieją pewne twierdzenia utarte, przyjęte raczej drogą tradycji niż rozumowania i dzięki temu gwałtownie wymagające rewizji swych prawd.

Rozbijanie takich twierdzeń, często zahacza o paradoksalność, tem nie mniej, prawda raz zdobyta, ma swoją wartość nieprzemijającą.

Weźmy np. pojęcie młodości i związane z nią określenia. Można się zgodzić, że młodość jest „górna i chmurna", choć i to nie zawsze, natomiast napewno nie jest „najszczęśliwszym okresem życia, okresem beztroski i radości".

Jest przedewszystkiem zapoczątkowaniem wszelkich omyłek życiowych, jest ciężkim etapem chaosu, udręczeń i walki o jakość przyszłego, „dojrzałego życia, które niby sport wymaga treningu. Młodość, to okres niezręcznych posunięć, nieharmonijnych ruchów, niezgody z prawidłami, a więc rezultatem jest stała przegrana.

Jakże tu mówić o szczęściu np. ośmnastu lat, kiedy lata te przynoszą konieczność sprecyzowania swego stanowiska, wobec miljona zagadnień, o których istnieniu wczoraj się jeszcze nie wiedziało, przynoszą konieczność pewnych decyzji, gdy nie rozumiemy jeszcze zasadniczych — pro i contra — i wtłaczają się do umysłu tak wielką falą wrażeń, że czasu nie staje na jakie takie ich uporządkowanie. I nikt ośmnastu latom nie może przyjść z pomocą ani radą. Z pokoleniem starszem, które siłą rzeczy mentoruje, staje w otwartej walce i buńczucznie chce samo za siebie stanowić, wybierając, może zresztą nieświadomie drogę samotności.

A młodzież? O młodzież jest zapamiętała w swej czyni... ani trochę nie zatrąca o paradoksalność, będąc poprostu skutkiem jej wrogiej postawy do doświadczeń starszego pokolenia. Młodość nie uznaje dróg, wydeptanych przez poprzedników, a choć niekiedy, nie stworzywszy nic nowego, trafi na te dawne drogi, zawsze jednak po długich mozołach samodzielnej wędrówki i po wielu cierpieniach, które są przywilejem tej „szczęśliwej młodości".

Jest to jej strona dodatnia, jeżeli chodzi o budowanie przyszłości, a ujemna w atmosferze teraźniejszości, bo z tego ustosunkowania się do życia, wyrasta problem walki dwóch pokoleń.

Problem ten, jest odwieczny jak świat, i przechodził przez wszystkie epoki w niezmiennej postaci ostrego konfliktu.

Młodzież patrzy na doświadczenie, jako na wartość wybitnie subjektywną, nie mogącą przechodzić z duszy do duszy. Starsze pokolenie, oparte jest na pewnej samoufności i zatrzymało się na punkcie własnych przeżyć ;okres młodości naszych matek i ojców jest do dziś dnia dla nich wykładnikiem najwyższych wartości, poza które już wyjść nie można. Nie potrafią oni spojrzeć na młodość dzisiejszą ze zrozumieniem, że jednak po pierwsze jest ona bogatsza o pewne nowe czynniki (życie nie stoi na miejscu), a powtóre, do dawnych chce dojść swoją drogą. Chce poprostu skierować swych najbliższych na dawne, wypróbowane ich własnym młodym cierpieniem szlaki.

A młodzież? O młodzież jest zapamiętała w swej czynnej samotności i... okrutnie bezwzględna. Swoją udrękę wykuwają sami, traktując doświadczenie pogardliwie lub pobłażliwie.

Wten sposób wytwarza się sytuacja wzajemnego rozżalenia niedomówionych pretensji, a czasem zaciętego milczenia i ukradkiem wylewanych łez.

Dumna samotność młodych jest szczęśliwą tylko przez okres tak zwanego „słomianego ognia". W chwilach rozczarowań, mimowoli szuka oparcia, albo błądzi i tak tworzy swoje młode doświadczenie.

Drogi wynajdowane przez młodzież często są zupełnie nowe, ale często od wieków istnieją, ale młodzi, trafiają do

Łódź Podwodna H. L. 34

W czasie kiedy dwie godziny, dwie głupie godziny dzieliły łódź podwodną H. L. 34 od brzegu zdarzyła się katastrofa.

Odczuto silny wstrząs. Coś głucho tam w górze po nad płaskim dachem łodzi stęknęło. I światło zgasło.

— Hallo chłopcy! Spokój! — rozległ się w ciemności głos kapitana Wiese. — Niech nikt nie opuszcza stanowiska. Załoga ucichła. Słychać było tylko głośne, chrapliwe oddechy wielu zdrowych, młodych płuc, które za wszelką cenę pragnęły dużo świeżego powietrza.

— Jest. Chwała Bogu. Oddychamy!

— Panie poruczniku i wy bosmanie Willy, weźcie latarki elektryczne i postarajcie się zbadać przyczynę wypadku. Reszta, ani pary z gęby. Zrozumiano!

— Rozkaz panie kapitanie.

Porucznik i Willy po omacku szukali latarek, a tamci słuchali ich ciężkich, niepewnych stąpań ślepców.

Wreszcie zobaczono mały snop światła.

Drzwi się otworzyły. Trzasnęły.

Niepokój i cisza jak szakale krążyły wśród mroków łodzi podwodnej H. L. 34.

Po pewnym czasie, t. j. po długich jak potępienie 10 minutach tamci wrócili.

— Panie kapitanie zderzyliśmy się z jakimś wielkim, sądząc po wygięciu ściany górnej okrętem.

— Maszyny uszkodzone. Znajdujemy się na głębokości kilku metrów zaplątani w sieć wodorostów — brzmiał meldunek porucznika.

— Gdzie są maszyniści? — pytał kapitan Wiese.

— Bob Francer jest ranny. Tamci dwaj pozostali przy nim. Wszyscy znajdują się jeszcze w przedziale maszyn.

— Dobrze. — rzekł Wiese, poczem zwracając się do załogi.

— Chłopcy! Nic jeszcze nie zostało stwierdzone. Nie widzę powodu do rozpaczy. Być może, że to tylko drobny wypadek i że, wszyscy spędzimy Święta Bożego Narodzenia w domu, zobaczycie...

Łkanie młodziutkiego marynarza Cordie, który pierwszy raz w życiu odbywał podróż łodzią podwodną przerwało mu w pół zdania.

— Hej tam! Milczeć do stu piorunów. Dzieci powinny były zostać w domu. Bosmanie Willy zobaczcie czy radjo działa.

Znów z małego krążka latarki wytrysnął snop światła.

Bosman szedł w stronę radjo-kabiny, a cała załoga wbrew wszelkiej subordynacji człapała za nim.

Kapitan Wiese nie zatrzymywał ich.

Pierwszy raz w życiu, nie gderał, nie wymyślał. Zapalił swą krótką małą fajeczkę i zniknął jak cień za drzwiami prowadzącemi do przedziału maszyn.

Willy włożył słuchawki i długo majstrował coś przy aparacie.

— Działa — zawołał radośnie.

W tej samej chwili w kabinie zjawił się Wiese ,świecąc małą latarką twarz miał dziwnie szarą.

— Możecie na wszelki wypadek, wysłać sygnał S.O.S

Spojrzenie bosmana zwarło się na chwilę z jego spojrzeniem i odskoczyło jak stalowa klinga.

Wiedział. Wszystko stracone, można tylko liczyć na pomoc z zewnątrz.

— Rozkaz panie kapitanie.

Szmer wśród załogi został stłumiony przekleństwami.

— Głośnik! Chcemy słyszeć odpowiedź — odezwało się parę zrozpaczonych głosów.

— Nastawcie im głośnik, Willy.

Kapitan zgasił latarkę i znów ciemność zupełna, nieprzenikniona wtargnęła do kabiny. Zdawała się pulsować przed oczyma marynarzy.

Widzieli wyraźnie dwie czarne fale wydymające się i pękające bluzgając na nich jeszcze większą czernią ciemności, chociaż przed chwilą mogliby przysiąc, że to jest niemożliwe.

A Willy cykał.

Miarowo, spokojnie. W równych odstępach.

nich jednak swemi własnemi sposobami. Starsze pokolenie jednak wszelki taki entuzjazm traktuje znowu pogardliwie lub pobłażliwie, jak młodzi ich szanowne doświadczenie.

Z takiego wzajemnego stosunku wyradza się bunt, walka przykra i ostra. Ale czy jest jaki sposób uniknięcia jej, trwała odwiecznie; jak to było wyżej zaznaczone, jest znamieniem postępu ludzkości. Zapatrzenie się w dawno utorowane drogi byłoby staniem na miejscu. Zdobywanie zawsze będzie połączone z walką, a walka ta napełnia serca goryczą i nieufnością wzajemną. Trzeba ją chyba przyjąć, jako pewne — modus vivendi — bez wkładania w jej ostrość entuzjazmu. Złagodzić ją może tylko chęć zrozumienia wzajemnego, właśnie chęć, bo samo zrozumienie jest niemożliwe. Niezrozumienie między ludźmi trwać będzie wieczne, bo jak twierdzi Zofja Nałkowska „między człowiekiem, a człowiekiem jest ciemność". Ciemność ta jest istotą obcowania ludzi między sobą i nic jej nie można rozjaśnić. Chyba obchodzenie jej zdala subtelnością niewidomych, subtelnością nieurażającą nikogo. Chęć prozumienia, naginanie się ku niemu, załagodzi ostrość kantów obcowania, i wyjaśni wiele pogmatwań.

Starsze pokolenie żyje wspomnieniem minionych zdobyczy, młode — zdobywa jutrzejszy dzień, dla tamtych może już niezrozumiały. Ale wspólne punkty napewno istnieją.

Em.

Co czytać podczas wakacyj?

Wkrótce rozpoczną się wakacje. Choć nam się zdaje, że one chyba już nigdy nie przyjdą, kiedy pochyleni nad pracą patrzymy z tęsknotą, jak za oknem świeci słońce i zielenią się drzewa, to jednak zgodnie z ustalonym porządkiem rzeczy upragnione, wytęsknione wakacje niedługo przyjść muszą. I wtedy każdy, łaknący odpoczynku po studjach czy pracy zawodowej, urzeczywistni choć częściowo swój całoroczny sen o swobodzie i zachłyśnie się świeżem powietrzem pól i lasów. Na początku wakacyj nie myśli się przeważnie o żadnej pracy umysłowej. Przecież tyle jest miłych zajęć i rozrywek, o których nawet nie ma się czasu pomyśleć podczas pracowitego roku. Wszystko musi być wyrównane. Ale już po dwóch tygodniach przychodzą chwile, w czasie których dobrze jest odpocząć wśród ruchliwych gier i zabaw. Wtedy mimowoli szukamy przy sobie książki, nie żadnej gramatyki ani innego podręcznika, ale ładnej, kochanej, któraby nas powiodła w krainę cudzych myśli i uczuć. Jeżeli ktoś podczas wakacji skazany jest na pewne osamotnienie lub też wogóle wakacje nie ułożą się tak wesoło jak powinny, to wcześniej i częściej, niż jego szczęśliwsi towarzysze, będzie szukał zajmującej książki. W ciągu całorocznej pracy czytało się coś napewno, ale była to najczęściej „lektura domowa", potrzebna jako uzupełnienie studjów, a ponieważ była polecona, obowiązywała, więc nie mogła sprawiać tak wielkiej przyjemności, jak książka z wolnego wyboru. To jest naprawdę dopiero możliwe podczas wakacyj.

Ale wtedy, gdy można wybierać, nasuwa się pytanie: co czytać? Zdawaćby się mogło, że odpowiedź prosta: książki wartościowe t. zn. mądre i piękne. Ale które są wartościowe? Które czytać należy? Pragnę w związku z temi pytaniami paru rad udzielić. Nie będzie to coś w rodzaju księgarskiego katalogu ani też „niezawodny przewodnik wśród książek". Pierwsze byłoby bezcelowe, a drugie niemożliwe. Więc tylko pogawędka o książkach.

Czem się kierować, wybierając książkę do czytania? Myślę, że nie trzeba na to odpowiadać: nie piękną okładką i nie „krzyczącym" tytułem ani odwrotnie. O tem wszyscy wiedzą, że zawodzi. Więc może szukać zawsze ostatniej nowości, takiej z zachęcającą, świeżo zieloną opaską? Tu zjawia się już potrzeba obszerniejszej odpowiedzi. Mamy literaturę, w której jest wiele utworów, stanowiących nasz „kapitał żelazny". Już lata przeszły od chiwili ich wydania, a one są jednak piękne, piękne jeszcze dla dzisiejszego pokolenai. Niektróe, „ostatnie nowości" żyją tylko parę tygodni. Jeżeli się ma do wyboru marną nowość i wartościowy utwór dawniejszy, to należy wybrać ten ostatni. Nie chcę, aby mię ktoś zrozumiał, że wszystkie dawniejsze książki są świetne, a nowsze marne. Bynajmniej, jednak

---

Raz, dwa, trzy; Raz, dwa, trzy!

Sygnał S.O.S. leciał w przestrzeń powtórzony kilkakrotnie miarowo, ciągnąć za sobą taśmę objaśniej.

„Łódź H. L. 34 stopień szerokości geograficznej..." i znów rodził się natarczywy, niespokojny, grząski.

S.O.S.! S.O.S.! S.O.S.!

Nagle coś zgrzytnęło i zupełnie niespodziewanie do kabiny wtargnął świeży, kobiecy głos.

— Hallo, hallo za chwilę transmitowane będą kolendy świąteczne, wykonane przez chóry szkolne.

— — — — — — — — — —

I popłynęła pieść, która każdemu z tych twardych, zapienionych morzem ludzi przypomniała dzieciństwo.

Nad niemi szumiał, wielki bezbrzeżny ocean ,a tu w ciemności wśród lęku i rozpaczliwego wołania o pomoc chór dziecinnych głosików śpiewał spokojnie poważną wigilijną kolendę.

Milczeli. Słuchali.

Zdaje się, ktoś cicho płakał.

— — — — — — — — — —

Coś stuka szybko, nerwowo.

TELEGRAM!

Torpedowiec polski „Orzeł". Idzie z pomocą. Torpedowiec Polski...

I znów z głośnika słychać kobiecy głos.

— Przewielebny ks. Wardt wypowie kazanie świąteczne.

— Pokój niech będzie ludziom dobrej woli! — mówił ks. Wardt nie przeczuwając, że trzydzieści młodych serc wali jak młoty, słuchając jego słów.

Toć przed chwilą obiecano im ratunek!

— A imię Pana po wsze czasy niech sławione będzie.

— I niech wszyscy, którzy cierpią, wielbią imię Jego, w wierze szukając pociechy...

Tak, tak, tak... terkocze aparat.

„Torpedowiec polski „Orzeł" za trzy godziny będzie nad wami".

Pomoc! Pomoc! Pomoc!

Kapitan Wiese podszedł do manometrów. Czy zdążą?

Radjo-głośnik wieścił światu, że tam na lądzie spokojni, syci ludzie radują się.

„Pan się na-ro-dził".

— Zaśpiewajmy chłopcy, wszak będziemy ocaleni. A oczy jego w mgławym świetle latarki wlepione były w manometry.

I śpiewali. Wszyscy. Od kapitana do młodziutkiego marynarza Cordie. Chórem. Tak jak nigdy w życiu.

„Oto na niebie zaświeciła pierwsza gwiazdka, która wiodła ongiś królów do Pana" — mówił ks. Wardt.

— Tak, tam. Na niebie zaświeciła gwiazdka — pomyślał kapitan Wiese.

„I ten, który rzekł kołaczcie, a będzie wam otworzono przyszedł na świat".

„Bóg się na-ro-dził" — śpiewali marynarze. I prosili, prosili.

Pomoc nadchodzi, polski torpedowiec „Orzeł" huczało im w uszach.

Tylko kapitan Wiese nie oszczędzając baterji latarki elektrycznej, wciąż patrzał na obojętne, zimne manometry.

I czuli się dziwnie. Strach pomieszał się z wielkiem świętem całego chrześcijaństwa i wionął tchnieniem jakiegoś nowego nigdy nieodczutego mistycyzmu.

Wszyscy byli nabożni. Wszyscy prócz jednego może kapitana byli jeszcze młodzi. Nie wierzyli w możliwość śmierci. Chcieli żyć! Czuli w sobie moc płynącą w każdej kropelce krwi.

I modląc się myśleli o rodzicach, bliskich, wielu pięknych kochanych dziewczynach, które tam na starym twardym lądzie obchodzą Święto Bożego Narodzenia i pamiętają może o nich, którzy...

— — — — — — — — — — — —

A gdzieś w dali na sinym oceanie z głuchym jazgotem rwących się naprzód turbin, bryzgając pianą, żłobiąc wodne brózdy, potężny, szary, torpedowiec polski „Orzeł" niósł im ratunek i pomoc, a w górze po nad nim świeciła pierwsza gwiazdka.

Jerzy Lewestam

często wyrządzamy zmarłemu pisarzowi mimowolną krzywdę, gdy jego cenne utwory leżą w zapomnieniu, podczas gdy się chwyta z zainteresowaniem krzykliwie reklamowaną miernotę. Ostateczny wniosek: nie poszukujcie, kochani czytelnicy, wyłącznie „ostatnich nowości"!

Ale to jeszcze nie wszystko. Niektóre utwory, czy to należące do epoki minionej, czy też współczesne, są bezwzględnie wartościowe, jeśli chodzi o poziom ich artyzmu, a jednak czytać ich nie radzę. Myślę tu o utworach bardzo, często beznadziejnie, smutnych. Daleko jestem od poglądu, że podczas lektury należy się skąpać w pogodnej banalności lub też uśmiechać się rzewnie z łezką w oku. To nie jest wcale komiczne. Ale młodość jest tym okresem w życiu człowieka, kiedy przeczytana książka pozostawia tak silne wrażenie jak nigdy potem dorzucając jednocześnie cegiełkę do budowy światopoglądu. Jeżeli w młodości będziemy się poić beznadziejnym smutkiem, to co się stanie z naszą radością życia, z naszą siłą twórczą, tak potrzebną krajowi? Pisarz, gdy mu jest źle, gdy go przygniotą nieszczęścia osobiste, dostrzega w takiej chwili tylko smutne strony życia i o nich pisze. To mu przecież wolno. Czytelnik, zrównoważony duchowo, który już spory szmat życia ma za sobą, wie, że to tylko jedna strona ludzkiego bytowania i to oglądana przez pryzmat rozgoryczenia. Wśród młodszych czytelników mogą to pojąć tylko nieliczne jednostki, a dla reszty przeczytánie takiej książki może się stać przyczyną tragedji duchowej, często skrzywieniem światopoglądu. Więc szczera, życzliwa rada: nie czytajcie beznadziejnie smutnych książek!

Obok oryginalnych utworów polskich mamy liczne tłumaczenia z języków obcych. Jest wśród nich wiele rzeczy wartościowych, stanowiących chlubę literatury danego narodu, ale są też i utwory słabe, które chyba przez pomyłkę doczekały się zaszczytu przekładu. Zapoznawanie się z piękną literaturą obcą jest nieledwie naszym obowiązkiem, gdyż to jest najłatwiejsza droga zbliżenia się narodów, w ten sposób zawiązują się nici wzajemnej sympatji, zapobiegając nieraz krwawym starciom. Ale czytelnik ma prawo postawić tu jedno żądanie: skoro piękno danego utworu jest dla niego całkowicie niedostępne w oryginale lub też straciłby z niego wiele, czytając ów utwór w niedostatecznie opanowanym języku, to pragnie poznać go w przekładzie polskim, ale musi to być przekład naprawdę dobry, to znaczy artystyczny, nie kłócący się hałaśliwie z duchem polskiego języka. Tymczasem liczne przekłady nie odpowiadają tym warunkom i w straszny sposób język polski kaleczą. Spotyka się takie przekłady i wśród „wyższej sfery" twórczości, częściej jednak na nizinach. Zwłaszcza w powieściach Wallece'a i Conan Doyle'a kwitną błędy językowe. Naprzykład niedawno spotkałam tam takie zdanie: „Pędzi życie bardzo samotne, ograniczając się wyłącznie jej towarzystwem". A w innem miejscu taki szyk wyrazów: „Był blady jak ściana z gniewu". Chyba mamy prawo żądać, aby przekład był wolny przynajmniej od rażących błędów językowych. A więc: nie czytajmy złych przekładów, bo w przeciwnym razie niektórzy wydawcy i tłumacze nie będą się starali dostarczać nam przekładów dobrych!

Ale dotąd, jak zapewne czytelnicy zdążyli już zauważyć, moja pogawędka o książce ma charakter negatywny. Ciągle mówię o tem, czego czytać nie radzę. Więc czas już najwyższy, aby w zakończeniu artykułu wspomnieć o tem, co przeczytać warto.

Z polskich utworów oryginalnych koniecznie trzeba poznać: „Dom nad łąkami" i „Choucas" Nałkowskiej, „Uśmiechy dzieciństwa" Dąbrowskiej, „Miasto mojej matki" i „W cieniu zapomnianej olszyny" Kaden-Bandrowskiego, „Bezgrzeszne lata" Makuszyńskiego, „Miłość — młodość — awantura" i „O pięciu panach Sulerzyckich" Choynowskiego, „Z dnia na dzień" i „Serce lodów" Goetla. Dla tych, którzy interesują się psychologją zwierząt, gorąco polecam książki Jana Wiktora („Burek", „Gołębie przy kościele"). Kto lubi obrazy na tle wsi polskiej, swojskie, pełne sentymentu, ten powinien sięgnąć po powieści Wandy Miłaszewskiej, zwłaszcza: „Cmentarz i sad", „Zatrzymany zegar".

Z utworów literatury obcej zasługują przedewszystkiem na poznanie powieści i nowele naszego rodaka Conrada Korzeniowskiego. Naprzykład: „Szaleństwo Almayera", „Zwycięstwo", „Ocalenie", „Młodość". Tak samo powieści Jacka Londona, ale to nazwisko napewno znane, bo cieszy się u nas dużą poczytnością. Ostatnio przetłumaczono: „Maleńka pani dużego domu", „Córka Lodów", „W Dolinie Księżyca". Postać dzielnej dziewczyny znajdujemy w powieści bar. Hutten p. t. Bratnie dusze, a wesołe młodzieńcze przeżycia w „Siedemnastoletniej wiośnie" Tartingtona. Zbiór pięknych nowel stanowi książka Maughama p. t. „Samotne dusze". Nie wymieniam tu oddzielnie utworów pisarzy współczesnych tak u nas znanych i cenionych jak Selma Lagerlöff lub Rudyard Kipling: utwory ich zawsze czytać warto.

Tymczasem to wszystko. Może aż za dużo na jedne wakacje? Chyba nie, bo czytelnicy będą mieli z czego wybierać stosownie do swych zainteresowań. Więc życzę serdecznie wielu miłych chwil podczas czytania.

Dr. Marja Krzyżanowska.

Z PRZYRODY I TECHNIKI

PROMIENIE KOSMICZNE

Gdy na końcu zeszłego stulecia Roentgen odkrył promienie X, a nieco później małżeństwo Curie zapisało się w złotej księdze zdobyczy fizyki odkryciem pierwiastków promieniotwórczych radu i polonium, bardziej niż poprzednio zaczęto się interesować nowemi dotąd nieznanemi rodzajami fal eteru. Już poprzednio Hertz odkrył fale elektromagnetyczne, czyli radjowe, dziś odgrywające tak doniosłą rolę kulturalną; fale te łącznie z falami cieplnemi, promieniami świetlnemi, pozafiołkowemi, Roentgena i promieniami gamma wysyłanemi przez pierwiastek rad, tworzą zespół fal eteru, wśród których promienie świetlne, na które oczy nasze reagują, zajmują tylko mały obszar, obejmując zaledwie jedną gammę wśród kilkudziesięciu gamm najrozmaitszych fal eteru, dostępnych dla naszych aparatów fizykalnych.

Z tych wszystkich promieni promienie gamma odznaczają się najmniejszą długością fali i z tego powodu najbardziej też są przenikliwe. Uczeni przypuszczali, że w promieniach gamma odkryliśmy już najprzenikliwsze jakie wogóle istnieją, promienie, a jednak badania ostatnich dwóch dziesięcioleci wykazały istnienie jeszcze bardziej przenikliwych promieni, których niebywałe własności promieniste zilustrujemy najlepiej nieco nieścisłem powiedzeniem, że promienie te są o tyle bardziej przenikliwe od promieni Roentgena, o ile promienie Roentgena są przenikliwsze od zwykłych promieni świetlnych.

Historja odkrycia tajemniczych tych promieni, o których nie mówią nic jeszcze podręczniki szkolne, obfituje w momenty bardzo ciekawe, warte opisu.

By wyjaśnić jakim to sposobem odkryto nieznane te fale eteru, wspomnijmy, że promienie Roentgena i gamma posiadają ciekawą własność jonizowania powietrza, to znaczy, czynią z powietrza dobry przewodnik elektryczności. Jonizację powietrza możemy dokładnie zmierzyć zapomocą bardzo czułych elektroskopów, skąd wynika, że elektroskop umożliwi nam odkrycie maleńkich nawet śladów pierwiastków promieniotwórczych na powierzchni Ziemi. Już atoli w roku 1903 uczynił słynny fizyk angielski Rutherford bardzo ciekawe spostrzeżenie, zauważył mianowicie, że w jego pracowni często elektroskopy wskazywały wysoki stopień jonizacji powietrza mimo, że nie można było żadną miarą stwierdzić obecności ciał promieniotwórczych lub promieni Roentgena.

Było to pierwsze wyraźne odezwanie się promieni kosmicznych, energiczne dobijanie się ich do ludzkiej świadomości. Dalsze badania nad dziwnem zachowaniem się elektroskopów doprowadziły niebawem do sensacyjnych wprost wyników.

Pierwotnie przypuszczano oczywiście, że tajemnicze promienie eteru zakłócające spokój elektroskopów pochodzą z wnętrza Ziemi. Już doświadczenia dokonane w roku 1912 przez austrjackiego uczonego Hessa wykazały mylność takiego twierdzenia.

Hess przyczepił samopiszące elektroskopy do balonów, które następnie puszczał do rozmaitych wysokości, aż do 5200 metrów. Jeśliby nieznane promienie pochodziły z wnętrza Ziemi, to oczywiście w miarę oddalania się od powierzchni naszej planety natężenie tych promieni powinno się zmniejszać, a wraz z nimi jonizacja powietrza. Faktyczne aż do wysokości 700 m. jonizacja atmosfery malała, od tej jednak wysokości począwszy elektroskop Hessego wykazywał stały wzrost jonizacji powietrza Łatwo wytłomaczyć zachowanie się elektrokopów w niższych warstwach atmosfery. Tu faktycznie aparat zapisywał działalność promieni gamma radjoaktywnych pierwiastków powierzchni Ziemi. Na wysokości 700 metrów oczywiście natężenie tych promieni, pochodzenia ziemskiego, jest znikome i wobec tego nagły wzrost jonizacji powietrza w warstwach wyższych nie daje się tłomaczyć działalnością ziemskich promieni gamma.

Później balony z elektroskopami wznosiły się nawet do wysokości 15 kilometrów, a jonizacja powietrza nawet na tych wysokościach stale wzrastała.

To wszystko przemawiało za pozaziemskiem, kosmicznem pochodzeniem tajemniczych tych promieni.

Prawdziwość tego przypuszczenia została następnie udowodniona badaniami dwóch uczonych Niemca Kohlhörstera oraz Amerykanina Millikana. Millikan stwierdził przedewszystkiem niesłychaną przenikliwość owych tajemniczych fal eteru. Jak wiadomo ołów rzuca na fluoryzujący ekran aparatu Roentgena wyraźny cień. Stosunkowo cienka blaszka ołowiana jest więc dla promieni Roentgena zupełnie nieprzenikliwa. Promienie kosmiczne przechodzą tymczasem z łatwością przez mury ołowiane grubości półtora metra!

Dalsze badania Millikana wyjaśniły nadzwyczajną przenikliwość tych promieni. Bowiem podczas gdy długość fal świetlnych mierzymy tysiącznemi częściami milimetra do pomiarów długości fal kosmicznych musielibyśmy użyć jednostki mierniczej długości 10 miljardowej części milimetra.

Nic więc dziwnego, że promienie tak maleńkie mogą się przedzierać przez warstwy ołowiu grubości półtora metra!

Nietylko jednak własności fizykalne promieni kosmicznych zostały ostatecznie ustalone, fizycy zdołali głęboko wejrzeć w tajemniczą istotę tych promieni i przy tej sposobności niespodziewanie dotarli do samych granic poznania, powstawania i zaniku wszechrzeczy.

Badania uczonych fizyków lat ostatnich wykazały, że pomiędzy materją a masą zachodzi zasadniczy związek. W myśl mechaniki fal de Brogli'ego materja jest pewnego rodzaju miejscem skupienia energji, atomy składają się z zespołu fal eteru, i wobec tego mogą ulec rozkładowi bezpośrednio na energję promienistą — materja może promieniować masę. Takie promieniowanie masy, połączone oczywiście z ubytkiem masy ciała promieniującego nie następuje naturalnie w warunkach panujących na Ziemi. Zato gwiazdy białe, w których wnętrzu panuje według badań astronomów potworna temperatura 40 miljonów stopni C., promieniują masę z wielkiem natężeniem. Słońce nasze należy do gwiazd żółtych, nieco już mniej gorących i z tego powodu mniej promieniuje masy. Przy promieniowaniu zaś masy, czyli przy rozkładzie materji na energję powstają prawdopodobnie owe tajemnicze promienie Millikana, pochodzące z dalekich gwiazd białych Drogi Mlecznej.

Ta wypremieniowana materja-energja nie ulega jednak zatracie. Pod wpływem promieni Millikana tworzą się w przestrzeni wszechświata mgły i gazy kosmiczne, stanowiące początek nowych światów planetarnych, nowych przybytków życia.

Z energji promienistej składamy się więc my, dzieci słonecznego dnia, bytujące w morzu eterycznych fal. Ze skupionej energji falistej składają się elektrony i atomy chyżo poruszające się w naszem ciele, prądami elektrycznemi drażniąc nasze nerwy i komórki mózgowe. A gdy po długich, długich miljonach lat Ziemia, jako ostygła planeta, krążyć będzie po odwiecznym swym torze, gdy Słońce nasze skurczone, cięższe kilkadziesiąt razy od platyny, ostatnie resztki swej materji wyśle w postaci promienistej w wszechświat — wówczas w dalach przestrzeni kosmicznej skłębią się fotony, najmniejsze drobiny światła, i z haosu rozrzedzonych mas gazowych wyłoni się nowy, młody system słoneczny, rozpocznie się ponowny kołowrot tętniącego życia gwiezdnego.

dr. F. Burdecki

KRONIKA POLITYCZNA

„STANY ZJEDNOCZONE EUROPY".

W jednym z numerów pisma francuskiego „Echo de Paris" jest przedstawiony w karykaturze projekt francuskiego ministra spraw zagranicznych, Brianda, dotyczący „Unji europejskiej", czy też „Stanów Zjednoczonych Europy".

Przy biurku, nad którym wisi mapa „sfederowanej Europy", siedzi Briand, oczekując na zgłaszające się do Unji państwa; w przewidywaniu tłoku pokój poprzedzielany jest przegródkami, a odpowiednie napisy jak: „cierpliwości, nie pchać" mają regulować ten natłok. Lecz nikt nie przybywa, co, zdaniem autora karykatury, ma świadczyć o braku zainteresowania projektem Brianda. I rzeczywiście z głosów pracy angielskiej, szwajcarskiej, niemieckiej, rosyjskiej, a nawet francuskiej, nie mówiąc już o włoskiej widać, że projekt nie prędko będzie zrealizowany — odpowiedzi na projekt żadne z 27 państw dotychczas nie nadesłało; jest jeszcze na to wprawdzie sporo czasu, ale jak dotąd nie widać, by projekt przypadał do gustu zwłaszcza państwom, które mają w sprawach europejskich coś do powiedzenia. I tak np. dla Anglji sprawa Unji, obejmującej tylko państwa europejskie jest nie do przyjęcia — wiadomo bowiem, jak dużą rolę w życiu politycznem i gospodarczem Anglji odgrywają pozaeuropejskie dominja, którym znów tak bardzo nie zależy na tem, by Anglja angażowała się zbytnio w sprawy europejskie. Socjalistyczny jednak rząd angielski, głoszący hasła pokojowe nie może rzecz prosta odrzucić bez rozważań projektu, który przecież również dąży do utrwalenia pokoju w Europie. Anglja więc czeka.

Niemcom projekt nie podoba się, stanowi bowiem konkurencję dla projektu Paneuropy, który to projekt Niemcy w czasie wojny światowej silnie popierali; następnie Niemcy obawiają się, że Francja, jako inicjatorka projektu, miałaby siłą rzeczy duży wpływ na przyszłe Stany europejskie, a to się Niemcom wcale nie uśmiecha; wreszcie przyszła Unja europejska utrwaliłaby stan rzeczy jaki wytworzył się w Europie po wojnie — Niemcy zaś pragnęliby obalić traktat wersalski, pragnęliby zmian. Sowiety widzą w projekcie mobilizację kapitalizmu przeciwko proletarjatowi. Szwajcarja obawia się, że Genewa, miasto szwajcarskie, siedziba Ligi Narodów może ponieść straty — wreszcie podkreśla prasa szwajcarska, że pomiędzy dwoma ciałami o podobnych celach, pomiędzy Ligą Narodów i przyszłą Unją musiałoby przychodzić do antagonizmów i tarć, na czem pokój europejski nie zyskałby. Włosi wobec znanych sporów z Francją odnoszą się niechętnie do wszelkich projektów francuskich. Słowem, jak widzimy, niepewność, niechęć, niezdecydowanie — co wszystko dobrą dla projektu wróżbą nie jest.



Patrz „Konkurs dla znawców architektury starożytnej" str. 16

ZE STOSUNKÓW POLSKO-NIEMIECKICH

Rada Państwa Rzeszy przyjęła 28 maja 40 głosami przeciw 25 umowę gospodarczą polsko-niemiecką; lecz prawie w tym samym czasie gabinet Rzeszy powziął uchwałę, dotyczącą wwozu do Niemiec nierogacizny z Polski, uchwałę dla Polski niekorzystną, przez co odrazu podrywa zasadę umowy gospodarczej. Przed paru dniami w dotychczas, niewyjaśniony sposób został zabity przez Niemców oficer polskiej straży granicznej w miejscowości nadgranicznej, Opaleniu. Rządy polski i niemiecki delegowały specjalne komisje, celem zbadania zajścia. Projekty budowy strategicznych linij kolejowych wzdłuż granicy polskiej są w Niemczech coraz aktualniejsze.

POSŁOWIE PAŃSTW OBCYCH W POLSCE.

24 maja o godz. 12 m. 30 w południe Prezydent Rzeczypospolitej naszej przyjął na Zamku Królewskim Johna Willys'a, ambasadora Stanów Zjednoczonych Ameryki, który złożył Prezydentowi swe listy uwierzytelniające. Jest to pierwszy ambasador (I klasy) amerykański w Polsce; podniesienie poselstwa do godności ambasady jest świadectwem zdobywania przez Polskę coraz większego znaczenia w świecie. Ambasador zapewniał rząd polski, że będzie dążył do utrzymania jaknajściślejszych i jaknajserdeczniejszych stosunków między Polską i Ameryką.

Poseł polski w Waszyngtonie, Filipowicz, jest również podniesiony przez rząd polski do godności ambasadora.

20 maja o godz. 1-ej po południu Olgert Grosvald, poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny republiki łotewskiej, złożył p. Prezydentowi na Zamku swe listy uwierzytelniające, stwierdzając, że serdeczna i pełna zaufania współpraca Łotwy i Polski utrwala się, dążąc w kierunku utrzymania pokoju.

WIZYTY I WYCIECZKI ZAGRANICZNE W POLSCE.

19 maja przybył do Warszawy szef sztabu armji finlandzkiej pułkownik Wallenius, który od 1 czerwca objął stanowisko attache wojskowego Finlandji w Polsce. Pułk. Wallenius złożył wizyty polskiemu szefowi Sztabu Głównego gen. Piskorowi, gen. Kwaśniewskiemu, oraz wiceministrom spraw wojskowych generałom Konarzewskiemu i Fabrycemu.

Bawiła też w Polsce w tych dniach wycieczka łotewska, prowadzona przez prezesa towarzystwa zbliżenia łotewsko-polskiego w Rydze, a byłego prezesa Rady ministrów Łotwy, p. Margers Skujeniek.

Władze miejskie Warszawy gościły w stolicy naszej przedstawicieli władz miejskich Paryża. Po uroczystych powitaniach, wizytach oficjalnych, śniadaniach, audjencjach, bankietach i raucie w Ratuszu goście paryscy zwiedzili Muzeum Narodowe, gimnazjum tramwajowe, piekarnię mechaniczną miejską, domy miejskie, szklarnię na Rakowcu, Operę — a także Wilanów.

Następnie przedstawiciele Paryża wyjechali do Krakowa celem zwiedzenia go.

ROZRUCHY W INDJACH.

Rozruchy w Indjach nie ustają. W Wadala 20 tysięcy ochotników dokonało generalnego ataku na angielskie składnice soli. Anglicy napad krwawo odparli. Ministerjum dla spraw Indyj w raporcie o sytuacji kraju stwierdza niepewny nastrój na granicy afgańsko-indyjskiej.

jb.

Z legend XX wieku

„Żelazny smok" przeleci przez Saharę

Sahara zasługuje z wielu względów na uwagę. Przedewszystkiem należy podkreślić, iż olbrzymie tereny pustynne są całkowicie pozbawione mikrobów. Jeden z badaczy H. Selirmer pisze o niej co następuje: „Wielka pustynia jest godna uwagi przedewszystkiem ze względu na zupełny brak mikrobów. Z tego względu, Sahara należy do najzdrowszych obszarów na świecie; niezwykłe susze, silne natężenie promieni słonecznych i gorąco zatrzymują rozwój zarazków lub zabijają je zupełnie.

Olbrzymia to przestrzeń! Długość Sahary wynosi 5.000, szerokość 1.500 kilometrów, a powierzchnia łącznie z oazami wynosi 6.180.000 kwadratowych kilometrów. Ludność składa się częścią z osiadłych tutaj plemion arabskich, częścią z Berberów i różniących się od nich szczepów Tibu, zaludniających część wschodnią pustyni. Plemiona te w części wyznają islamizm, w części są bałwochwalcze. Liczbę mieszkańców Sahary obliczają na 3.000.000 głów.

Dawno już temu znakomity geograf O. Reclus pisał o Saharze: „Przyszła praca na tym terenie powinna pójść w dwu kierunkach: przedewszystkiem należy zbadać wielką pustynię, by dowiedzieć się jakie skarby zawiera, powtóre — przeprowadzić wielką linję kolejową, któraby łączyła krańcowe punkty olbrzymiego terytorjum". Dla nas Sahara przestała już być tajemniczym krajem, do którego broniły dostępu olbrzymie zwały piasku, gorące promienie słoneczne i dzicy beduini. Dziś posiadamy już środki, które w czasie dość szybkim pozwalają nam przeniknąć w głąb pustyni. Tu przedewszystkiem wymienić należy awiację, powtóre zaś automobil, który pozwolił przezwyciężyć zwały piasku i wedrzeć się europejczykom do tajemniczej, niezbadanej głębi Sachary.

Kolej przez Saharę To myśl już nie nowa. Już bowiem pięćdziesiąt przeszło lat temu (1879 r.) myślano o realizacji tego pomysłu, a inż. Duponetel sporządził nawet dokładny plan przyszłej trasy.

Powstało przecież pytanie, czy przedewszystkiem istnieje gwarancja, iż bezpieczeństwo na pustyni będzie wystarczające. Dalej — czy i jakie znaczenie polityczne, ekonomiczne i kulturalne będzie posiadała wielka magistrala! Wreszcie czy znajdzie się dostateczna liczba kapitałów, potrzebna do sfinansowania tego przedsięwzięcia — oraz robotników, zdolnych do pracy w tych specjalnych warunkach.

Co się tyczy kwestji pierwszej, t. j. sprawy bezpieczeństwa, to należy stwierdzić, iż pacyfikacja kraju posuwa się intensywnie naprzód. W związku z budową linji kolejowej proces ten posuwać się niewątpliwie będzie w jeszcze szybszem tempie naprzód, ponieważ pozwoli ona na przetransportowanie w stosunkowo krótkim czasie, dostatecznej liczby oddziałów żołnierzy, któreby potrafiły zmusić oporne szczepy do spokoju. Co się tyczy strony ekonomicznej — to trzeba stwierdzić, iż wartość jej będzie ogromna ze względu na olbrzymie zwiększenie się ruchu towarowego pomiędzy Algierem, Tunisem, Marokkiem Afryką Zachodnią a Europą, w szczególności zaś Francją. Co do strony kulturalnej — to Francja będzie miała możność przeniknięcia w głąb omawianego terytorjum i zaszczepienia tam swej kultury. Strona finansowa tej kwestji przedstawia się w sposób następujący. Budowa linji kolejowej musiałaby kosztować 3 miljardy 187 miljonów franków. Biorąc zaś pod uwagę czas trwania budowy kolei obliczono, iż do chwili ukończenia budowy corocznie musi wpływać do kasy kompanji 400 miljonów franków. Wysiłek ten jest dla Francji zupełnie wykonalny. Rekrutacje armji robotniczej — która nie musi być zbyt liczna — odbędzie się w rejonach Sahary i środkowo-afrykańskich kolonjach francuskich.

Takie były pierwotne wyliczenia, tyczące się tego, zaprawdę olbrzymiego planu. Dziś, po przeprowadzeniu całego szeregu studjów, plan ten zdaje się być bliskim realizacji. Mianowicie w grudniu 1923 r. komisje doradcze do spraw Sahary środkowej, pod przewodnictwem m. Theodore Stceg'e, po zbadaniu całego szeregu planów i projektów, tyczących się trasy przyszłej linji kolejowej, zdecydowały się ostatecznie na trasę zachodnią. Długość tej linji będzie wynosiła 1,912 kl, budowa zaś jej trwać będzie lat sześć.

Zbudowanie i eksploatacja kolei żelaznej zostanie powierzona kampanji, złożonej z przedstawicieli metropolji, Algieru, Tunisu, Marokka, Zachodniej Afryki Francuskiej, wielkich kompanij kolejowych Francji i Północnej Afryki oraz towarzystw okrętowych.

L. Ron.

Ze świata książek

Juljusz Kaden - Bandrowski: Miasto mojej matki.

Juljusz Kaden-Bandrowski laureat literackiej nagrody państwowej za rok 1928 jest jedną z najważniejszych postaci w naszej literaturze współczesnej. Wśród wielu tak zwanych nowych kierunków trwających nie dłużej, niż jeden sezon mody, potrafił Bandrowski stworzyć stałą wartość nowej polskiej prozy. Nie można przewidzieć jaki będzie dalszy los jego poczynań, dziś jednak wysunął się autor „Czarnych Skrzydeł" na najwidoczniejsze miejsce areny zapasów literackich — od niego bowiem spodziewamy się usłyszeć słowa mające wskazać naszej literaturze nowe drogi. Jest to zagadnienie tem ważniejsze, że obecna młoda sztuka polska (mówię tylko o literaturze) zerwała niemal zupełnie z wszelkiemi tradycjami dawnych kierunków, a nic nowego stworzyć jeszcze nie potrafiła.

Z tego punktu widzenia rozpatrując cykl p. t. „Miasto mojej matki" („Miasto mojej matki" i „W cieniu zapomnianej olszyny") zauważyć musimy odrazu najważniejszą cechę tych utworów wewnętrzną walkę autora.

Treść obu tych książek stanowią wspomnienia dzieciństwa i młodości, jednak nie jest to, ani pamiętnik, ani biografja. Na marginesie swoich własnych przeżyć stworzył Bandrowski treść ogólnoludzką. Każdy prawie z czytelników, pominąwszy pewne ściśle wymienione wydarzenia wchodzące w treść książki, z łatwością dojrzeć może siebie w bohaterze.

I może właśnie ta cecha stanowi specjalną wartość obu książek. Ona prócz psychologji jednostki (autobiografja) pozwala czytelnikowi osiągnąć pewną syntezę przeżyć ogólnoludzkich. Pozwala każdemu z nas odnaleźć jego własne „Miasto mojej matki" i zrozumieć wiele wydarzeń z przeszłości, których nie potrafiliśmy należycie ocenić i zrozumieć, kiedy jeszcze były zwykłym dniem dzisiejszym.

„Widzisz, jak małe jest to ziarnko prawdy, która mną porusza. Trzeba to było jednak powiedzieć i sądzę, że niema w tem żadnego wstydu". — mówi w zakończeniu autor i z tem właśnie zdaniem musimy się zgodzić jak najskwapliwiej. Jest i w nas wszystkich to „małe ziarnko prawdy" i my musimy, koniecznie musimy powiedzieć sobie o niem, uświadomić je sobie. Czytamy więc piękny cykl Kaden-Bandrowskiego nie mić niektóre momenty naszej przeszłości — aby z nas każdy poznał wretylko jak się czyta dobrą książkę, ale aby sobie równocześnie uświadoszcie tę rzecz najpiękniejszą swoje własne „Miasto mojej Matki".

James Oliver Curwood. Władca skalnej doliny

Od czasu, kiedy Jack London zdobył dla pisarzy amerykańskich Europę i wzbudził w nas zamiłowanie do egzotycznych krajów złota i śniegu, oraz niezbadanych prerji Ameryki Północnej, powoli zaczęliśmy interesować się literaturą amerykańską. Typowym przedstawicielem takiej właśnie rdzennie amerykańskiej literatury jest James Oliver Curwood.

Twórczość Curwooda rozwija się w dwóch zasadniczych kierunkach. Jeden, to fantastyczne, choć zupełnie realne powieści z życia traperów i poszukiwaczy złota (Łowcy wilków, Płonący las), drugi — to opowiadania o zwierzętach. Jednym z wybitniejszych przedstawicieli tego kierunku jest „Władca skalnej doliny" (The grizzly).

Z przyrodniczą niemal dokładnością opisuje Curwood ogromnego niedźwiedzia Tyra — władcę nietkniętych jeszcze stopą ludzką krain w Górach Skalistych.

Znacznie mniej znany od Londona przewyższa go jeszcze Curwood realizmem, prawdziwością fabuły, oraz tem, że nigdy nie stara się wywoływać w czytelniku wrażeń przy pomocy opisów okrucieństw, lub sytuacyj nieprawdopodobnie tragicznych.

Ustawiczne obcowanie z przyrodą (większą część życia spędził na włóczędze i polowaniu), pozwala autorowi ze znawstwem i bardzo wiernie odmalowywać świat zwierzęcy, a zamiłowanie do poważnych studjów zoologicznych podnosi jeszcze bardziej wartość spostrzeżeń.

Niezmiernie ciekawie przedstawił Curwood w omawianej obecnie książce pojedynek wielkiego niedźwiedzia Tyra z człowiekiem. W spotkaniu oko w oko Tyr darował życie bezbronnemu i blademu z przerażenia Langdonowi i wtedy dopiero człowiek zrozumiał, że tępiąc dla przyjemności zwierzęta niesłusznie lekceważył ten najpiękniejszy dar natury — życie. Uratował więc z kolei Tyra, kiedy groziła mu śmierć, choć może, jak twierdzi Curwood powodowało nim wtedy nie zrozumienie wartości każdego, a więc i zwierzęcego życia, lecz wdzięczność za to, że parę godzin temu „Władca skalnej doliny" oszczędził jego własne istnienie.

Ta właśnie moralność właściwa przyrodzie, pozwalająca walczyć i zabijać jedynie w razie konieczności jest nader cenną właściwością Curwooda i ona różni go od nazbyt krwawego często bez potrzeby Londona.

Nie mogę wprawdzie (i nie chcę) odmawiać Londonowi wartości, lecz radzę wszystkim jego sympatykom, aby przeczytali kilka książek Curwooda, a z pewnością lektura ta zupełnie ich zadowoli, tym zaś, którzy może nareście nabiorą zamiłowania do właściwej zdrowym organizmom siły i tężyzny nie zawsze może delikatnej i salonowej, ale zawsze wartościowej.

Mik.

Budowa przyrządów technicznych

Ludzie już oddawna próbowali wyjaśnić sobie stosunek jaki zachodzi pomiędzy narzędziami, które człowiek stwarza do swego użytku, a narządami (organami) własnego ciała. Otóż jeden z uczonych niemieckich, Ernest Kapp, doszedł w rozmyślaniach nad tym tematem do bardzo ciekawych wyników. Kapp mianowicie twierdzi, iż wszelkie narzędzia od najprostszych do najbardziej skomplikowanych powstają na drodze bezwiednego odtwarzania narządów ciała ludzkiego, że człowiek, urabiając narzędzia, do najprostszych służące celów, temi samemi posługuje się środkami, któremi przyroda wyposaża jego ciało dla osiągnięcia celów analogicznych. Narzędzia techniczne są zatem „rzutem" organów cielesnych. Oto pierwsza zasadnicza strona tego prawa. Ma ono jednak i drugie jeszcze znaczenie, w którem orzeka, że człowiek tylko wtedy jest w stanie zrozumieć działanie i czynność narządów (organów) własnego ciała, gdy zrozumie sposób, w jaki działają stworzone przez niego narzędzia.

Zdanie powyższe objaśnia i uzasadnia Kapp licznemi przykładami. Zaczyna więc od narzędzi najprostszych, wymyślonych przez ludzi przedhistorycznych. Każdy więc kamień, który służył do wykonania uderzeń silnych, odtwarzał pięść. Młot zaś przedstawia się jako bezwiedne naśladowanie pięści w jej połączeniu z ramieniem; pojedyńczy rząd zębów odnajdujemy w piłach, a szczęki w obcęgach; wzorem świdra jest wyprężony palec, uzbrojony paznogciem; odpowiednio złożona dłoń bywa odtworzona w podobnych do niej przyrządach, służących do czerpania wody. Cały szereg narzędzi i przyrządów daje się więc sprowadzić do ręki, ramienia i uzębienia, jako do swych pierwotnych wzorów. Mowa ludzka wyraźnie świadczy o tem pokrewieństwie pomiędzy własnem ciałem a narzędziami. I tak np. ramiona dźwigni nietylko nazywają się ramionami, lecz są odtworzeniem ramienia ludzkiego; podobnie też i zęby u piły. To samo zjawisko daje się spostrzec także w innej dziedzinie, w dziedzinie mierzenia. Człowiek pierwotnie wszystko mierzył zapomocą nadających się do tego kończyn ciała; gdy jednak stworzył sobie miary, dał świadectwo temu, iż naśladuje w nich swe ciało, nazywając miary wedle pewnych członków. Dość wspomnieć o stopie i łokciu. Okoliczność ta rzuca też ciekawe światło na fakt, że ludzkość w liczeniu posługuje się układem dziesiątkowym, a nie innym. Jasną jest bowiem rzeczą, iż zasada tego układu, liczba dziesięć, znajduje swój wzór w liczbie dziesięciu kończyn u rąk, dziesięciu palców; a wiadomo też, że rzymski sposób pisania liczb zdradza wyraźnie, że ta dziesiątka palców wszystkich składa się z dwóch piątek, będących liczbą palców u każdej ręki zosobna. Ale nietylko ręka i stopa, uzębienie i ramię są bezwiednemi wzorami narzędzi, które sobie człowiek do własnego stworzył użytku. Odtwarzanie organów rozciąga się także do bardziej skomplikowanych wśród nich. A więc oko jest pierwowzorem wszelkich przyrządów optycznych, począwszy od soczewki pojedyńczej, stanowiącej lupę, a skończywszy na aparacie fotograficznym. Zbyteczne byłoby rozwodzić się nad faktami, znanemi każdemu, co zna choćby tylko początki fizyki. A czem jest oko dla przyrządów optycznych, tem jest ucho dla instrumentów muzycznych, wywołujących tony za pomocą strun o rozmaitej długości i rozmaitem naprężeniu. Helmholtz pierwszy wskazał na znajdujący się w uchu organ Corti'ego, będący pierwowzorem fortepianu, harfy i t. p.

Wiadomo też, że najwspanialszy instrument muzyczny, organy, składa się z części, które odtwarzają narządy, służące człowiekowi do wydawania głosów. Miech — to płuca; piszczałki — to przewód oddechowy; a organa krtani i ust umożliwiają nam wydawanie licznych tonów, do stworzenia których organom potrzeba wielu piszczałek. W tych zastosowaniach prawa odtwarzania organów występuje wyraźnie druga jego strona, która czyni zawisłem zrozumienie działania naszych organów cielesnych od zrozumienia sposobu, w jaki działają naśladujące je przyrządy. Dowody? A oto np. fizjologja oka dopiero wtedy stanęła na pewnym gruncie, gdy oko zaczęto uważać za ciemnię optyczną; zagadka zaś, w jaki sposób drgania eteru działają na siatkówkę, może kiedyś stanie się bardziej zrozumiałą, gdy będzie można wykazać, że na siatkówce odbywają się procesy chemiczne, podobne do tych, które światło wywołuje na płycie fotograficznej. Hipotezy tego rodzaju już istnieją. Tak samo rzecz się ma z narządem słuchu. Przez odkrycie włókien Cortiego a więc pierwowzoru instrumentów strunowych, fizjologja ucha bardzo się rozwinęła. I tak okazuje się prawdziwem twierdzenie, iż przyrządy, będące nieświadomem odtworzeniem pewnych narządów naszego organizmu, stają się drogowskazami do zrozumienia tych właśnie narządów.

L. R.

Wiadomości sportowe

PIŁKA NOŻNA:

Oprócz rozgrywek ligowych, które zresztą większych niespodzianek nie przynoszą, jesteśmy obecnie pod znakiem spotkań międzynarodowych.

I tak: Kraków grał z Budapesztem, przegrywając w skandalicznym stosunku 1 : 6, lecz zrehabilitował się drugiego dnia bijąc Zagrzeb 5 : 1. W Warszawie ubiegłej niedzieli gościła drużyna wiedeńska S. C. Post, zresztą słaba, i rozegrała dwa spotkania z Polonią 4 : 6 i z Komb. Gwiazdą + Samson 7 : 2.

Na Zielone Świątki przybywa do stolicy WAC (Wiedeń) na mecze z Legją i Warszawianką. Polonia w tym samym czasie gra w Wiedniu z S. C. Post i z Hradec Kratowe.

Obecny stan tabeli ligowej przedstawia się następująco:

1.	Cracovia	7 gier	— 12 punktów
2.	Wisła	7 „	— 12 „
3.	Warta	8 „	— 11 „
4.	Legja	5 „	— 8 „
5.	Ruch	7 „	— 8 „
6.	Ł. K. S.	7 „	— 7 „
7.	Polonia	6 „	— 7 „
8.	Pogoń	6 „	— 5 „
9.	Ł. T. S. G.	6 „	— 5 „
10.	Czarni	6 „	— 4 „
11.	Warszawianka	8 „	— 3 „
12.	Garbarnia	8 „	— 2 „

LEKKA ATLETYKA:

Z niecierpliwością oczekiwany mecz Kościak — Kusociński — Petkiewicz przyniósł cały szereg konsekwencyj i refleksyj. A więc:

1. Aekord Petkiewicza na 3 km. ze światowym czasem pierwszej klasy 8 : 35.8.

. Legenda o Kościaku pogrzebana.

3. Niepokojące pytanie, kto jest lepszy Petkiewicz czy Kusociński zostało rozstrzygnięte.

4. Kusociński, aczkolwiek słabszy od swojego kolegi klubowego, jest przy swojej budowie z brakiem stylu — jest swojego rodzaju fenomenem lekkiej atletyki.

Pozatem mamy do zanotowania nowy rekord polski Żubra na 500 r. 1 : 08. Dalsze zawody o mistrzostwo klasy C. wygrała Sarmata (105,5 p.) przed Sokół (102,5) i Ursus (64 p.).

Mecz kobiecy Poznań — Śląsk wygrał ten ostatni w stosunku 64 : 58. Zanotowano cały szereg świetnych wyników. Do Anglji na mistrzostwa lekko atletyczne pojadą Petkiewicz i Kusociński.

GRY SPORTOWE:

Wdalszym ciągu rozgrywek o mistrzostwo W. O. Z. G. S. sytuacja nie uległa poważniejszym zmianom. Jedynie drużyna Y. M. C. A. siatkówki męskiej wysunęła się na czoło i ma najwięcej szans na mistrza, zupełnie słusznie zresztą, gdyż swoją piękną grą i wręcz odmiennym systemem od reszty drużyn, zasługuje na należenie do extra klasy światowej.

W rozgrywkach kobiecych z góry przesądzone jest zakończenie mistrzostwa A. Z. S. trzyma tu niepodzielnie prymat.

HIPPIKA:

W dotychczasowych dorocznych zawodach w Łazienkach wyróżniają się: Italja, a w jeździe cywilnej pani W. Czajkowska.

SZERMIERKA:

Mecz szermierczy Armja Polska — Armja Węgierska odbędzie się w Warszawie podczas Zielonych Świątek.

KOLARSTWO:

W zawodach na Dynasach o mistrzowstwo Warszawy, w sprintach wygrał Pusz (13,6) przed Oksiutyczem. W biegu 50 km pierwsze miejsce zdobył Włodarczyk przed Boyrzkem i Michalakiem.

Schroniska wycieczkowe.

Dla tych, którzy w czasie wakacyj wezmą plecak na ramiona i pójdą poznawać kraj — podajemy radosną wiadomość o utworzonych szkolnych schroniskach wycieczkowych. Schroniska te są zaopatrzone w łóżka z materacami sprężynowemi oraz w koce i poduszki.

Poniżej podajemy regulamin korzystania ze schroniska i spis ich:

WOJEWÓDZTWO BIAŁOSTOCKIE.

1. **Białowieża** — 7 kl. publiczna szkoła powszechna 20 łóżek
2. **Druskieniki** — Publ. szk. powsz., ul. Marsz. Piłsudzk. 3 10 „
3. **Grodno** — Państw. męskie Sem. Nauczyc., ul. Mostowa 20 „
4. **Myszyniec** — Publiczna szkoła powszechna 20 „

WOJEWÓDZTWO KIELECKIE.

5. **Bodzentyn** — Publiczna szkoła powszechna 20 łóżek
6. **Częstochowa** — Publ. szk. powsz. Nr. 2, ul. Dąbrowsk. 10 30 „
7. **Janów** — (Złoty Potok) — Publ. szkoła powszechna 20 „
8. **Nowa Słupia** — Publiczna szkoła powszechna 40 „
9. **Ojców** — Willa M. Zawiszowej 40 „
10. **Opatów** — 7 kl. publ. szkoła powszechna, ul. Kościelna 2 20 „
11. **Sandomierz** — 7 kl. żeń. publ. szkoła pow., ul. N.M. Panny 3 20 „
12. **Skała** (pod Ojcowem) — Publiczna szkoła powszechna 20 „
13. **Sosnowiec** — Państw. męskie Sem. Naucz., ul. Wawel 1 40 „

WOJEWÓDZTWO KRAKOWSKIE.

14. **Kalwarja Zebrzydowska** — 7 kl. publ. szkoła powsz. 20 łóżek
15. **Krościenko** — 7 kl. publiczna szkoła powszechna 20 „
16. **Krynica** — Publ. szkoła powszechna we wsi Krynica 20 „
17. **Lipnica Mała** — Publiczna szkoła powszechna 10 „
18. **Lipnica Wielka** — Publiczna szkoła powszechna 10 „
19. **Maniowy** — Publiczna szkoła powszechna 20 „
20. **Mszana Dolna** — Publiczna szkoła powszechna męska 20 „
21. **Nowy Sącz** — Państw. Gimnazjum I im. J. Długosza 20 „
22. **Nowy Targ** — Publiczna szkoła powszechna męska 20 „
23. **Rytro** — Publiczna szkoła powszechna 20 „
24. **Sromowce Niżne** — Dom wł. Śl. Woj. Kom. Turystycznej 50 „
25. **Witów** (na Podhalu) — Publiczna szkoła powszechna 10 „
26. **Zakopane** — Bursa Tow. Pomocy Nauk., ul. Krupówki 50 „
27. **Zawoja** — „Stolarnia" 25 „
28. **Żywiec** — Państwowe Gimnazjum im. M. Kopernika 20 „

WOJEWÓDZTWO LUBELSKIE.

29. **Kazimierz nad Wisłą** — 7 kl. publ. szkoła powszechna 40 łóżek
30. **Lublin** — 7 kl. p. szk. pow. Nr. 3 (Przedmieście Czwartek 20 „
31. **Nałęczów** — Uniwersytet. Lud. im. Żeromskiego na Pałubach 20 „
32. **Puławy** — 7 kl. publiczna szkoła powszechna Nr. 1 20 „
33. **Zamość** — Państwowe żeńskie Sem. Nauczycielskie 20 „

WOJEWÓDZTWO LWOWSKIE.

34. **Drohobycz** — 7 kl. męska publ. szkoła powsz., ul. Zawale 30 łóżek
35. **Dukla** — 7 kl. męska publiczna szkoła powszechna 20 „
36. **Lwów** — 7 kl. szk. pow. im. Lenartowicza, ul. Weteranów 20 „

WOJEWÓDZTWO ŁÓDZKIE.

37. **Kalisz** — Przystań wiośl. Państw. Gimn. im. T. Kościuszki 10 łóżek
38. **Łódź** — 7 kl. publ. szk. powsz. Nr. 1 ul. Nowo-Targowa 24 20 „
39. **Piotrków** — Państwowe żeńskie Sem. Nauczycielskie 20 „
40. **Tomaszów Mazowiecki** — Publ. szk. pow. Nr. 1, ul. Piliczna 20 „

WOJEWÓDZWO NOWOGRÓDZKIE.

41. **Mir** — 7 kl. publiczna szkoła powszechna 10 łóżek
42. **Nowogródek** — Inspektorat Szkolny 20 „

WOJEWÓDZTWO POLESKIE.

44. **Pińsk** — Państwowe Gimnazjum 20 „

44. **Pińsk** — Państwowe Gimnazjum 20 „

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE.

45. **Brodnica** — Publiczna szkoła powszechna żeńska 20 łóżek
46. **Chełmno** — Publiczna szkoła powszechna żeńska 20 „
47. **Gdynia** — Publiczna szkoła powszechna 100 „
48. **Golub** — Publiczna szkoła powszechna 10 „
49. **Hel** — Publiczna szkoła powszechna 10 „
50. **Jastarnia** — Publiczna szkoła powszechna 10 „
51. **Kartuzy** — Miejska szkoła powszechna 20 „
52. **Karwia** — Publiczna szkoła powszechna 10 „
53. **Ostrzyce** — Publiczna szkoła powszechna 10 „
54. **Toruń** — Wydział. szkoła powsz. Plac Św. Katarzyny 20 „
55. **Wejherowo** — Publ. szkoła powsz., ul. O.O. Reformatorów 16 20 „
56. **Wiele** — (p. Chojnicki w pobl. Wdzydz) Publ. szkoła powsz. 20 „
57. **Wielka Wieś** — Publiczna szkoła powszechna 20 „
58. **Żarnowiec** — Publiczna szkoła powszechna 20 „

Dalszy ciąg spisu schroniska podamy w następnym numerze.

KOLUMNA MŁODYCH PIÓR

W obcem mieście

W wyniku konkursu na dokończenie noweli p. t. „W obcem mieście nagrodę na najlepsze zakończenie otrzymuje p. Jerzy Safjan za nowelę wydrukowaną poniżej.

Nagrody za zakończenie najpodobniejsze Redakcja nie przyznała nikomu, gdyż z pośród utworów nadesłanych, żaden nie był zbliżony treścią do zakończenia p. J. Mirskiego.

Z początku chciał biec, dogonić za wszelką cenę umykające w dal wagony! Lecz wnet przyszło opamiętanie i zrozumiał swój bezsensowny zamiar. Ogarnęła go konsternacja. Cóż zrobi w obcem mieście, w nocy i bez możności porozumienia się?... Nie mógł znaleźć odpowiedzi na dręczące pytanie. Pozostawało mu tylko jedno: czekać cierpliwie na dworcu, do nadejścia następnego pociągu. Jednak nie zdążył jeszcze spocząć na ławce, gdy natrętny policjant, widząc jego zamiar, zbliżył się doń ponownie i w sposób już bezceremonjalny usunął z sali dworcowej, podejrzewając w nim zwykłego włóczęgę, lub może nawet kogoś gorszego.

Oburzenie Zygmunta nie miało granic, lecz jak mógł zaprotestować?.. Więc też powlókł się, nolens volens, zgnębiony do miasta.

Ulice były puste, nasiąknięte liljowem, ciepłem powietrzem. Cisza panowała zupełna. Okna kamienic zamknięte, zasłonięte storami.

I nagle na ten widok, porwała Zygmunta spazmatyczna tęsknota za krajem, narzeczoną, kolegami. Teraz poczuł dopiero, jak kocha szare mury Warszawy i ileby dał za to, aby móc być teraz wśród nich. Czuł się tak obco, tak smutno, aż mu się na pałcz zbierało. Pomyślał o narzeczonej, o jej smutnem pożegnaniu, o jej obawach i już łzy niemęskie miały wypłynąć z zakamarków ocznych, gdy nowy widok uderzył wzrok jego.

Stał przed oświetlonym sklepem, w którym łatwo można było poznać aptekę. Nagle cudowna myśl strzliła mu do głowy: porozumie się z „pigularzem" — łaciną, którą pamiętał od biedy ze szkoły; a wtedy może zyska jakieś potrzebne wiadomości, choćby drogę do konsulatu polskiego.

Więc też śmiało pchnął drzwi i wszedł do wnętrza, układając sobie, w myśli, z mozołem szyk zdania.

— Kto tam? — odezwał się senny lecz dźwięczny głos kobiecy, po węgiersku.

Jednak Zygmunt nie odpowiadał, choć mniejwięcej zrozumiał sens zapytania. Nagle wydało mu się bezdennie głupiem odpowiedzieć, ni stąd ni z owąd, po łacinie.

— Wzięliby mnie za warjata — myślał.

Tymczasem z pokoiku poza apteką, wyszła młoda kobieta. Spojrzawszy na nią, Zygmunt cofnął się parę kroków ze zdziwienia. Farmaceutką była, ni mniej, ni więcej, tylko piękna nieznajoma z dworca budapeszteńskiego.

— Pan tu?... — spytała po polsku, wysoce zdziwiona. No, no...

Po tych słowach Zygmunt szybko otrząsnął się ze zdumienia i gnąc się w szarmanckich ukłonach, opowiedział treściwie całą swą odyseję.

— Ach tak, o to pan jest bardzo nieszczęśliwy — powiedziała młoda pani, gdy skończył. — Wobec tego pozwolę sobie zaopiekować się panem, na czas przymusowego pobytu w Budapeszcie.

— Z rozkoszą przyjmuję —zgodził się skwapliwie Zygmunt, wodząc rozmarzonym wzrokiem po zgrabnej sylwetce. Nagle jednak, z dali jakby, usłyszał głos:

— Nie zapomnisz?... A śliczne oczy narzeczonej patrzały nań z wyrzutem.

Otrząsnął się, lecz wspomnienie ścigało go jak zmora. Aby zapomnieć, rzucił się rozpaczliwie w dalszy tok rozmowy.

— Właściwie to jeszcze nie przedstawiliśmy się sobie — mówił z trudem kryjąc zdenerwowanie — jestem Zygmunt Karski.

— Wanda Wolska — odpowiedziała kobieta.

— Cooo!... — krzyknął niemal Zygmunt i zdziwienie wielkie odbiło mu się na twarzy. — Więc pani jest siostrą mego kolegi, którego właśnie spotkałem na dworcu.

— Pan zna Jurka? — spytała, tym razem zdziwiona farmeceutka.

— Jeszcze jak — odparł zawadjacko Zygmunt. — Ale wcale nie wiedziałem, że Jurek posiada tak cudowną siostrę, która go jeszcze odprowadza na stację.

— Ha, ha, ha — zaśmiała się kobieta. — Za drugim razem to pan zgadł, gdyż faktycznie wtedy odprowadzałam Jurka, ale siostrą jego wcale nie jestem, tylko żoną i kocham go bardzo — dodała z przestrogą.

— Pani jest zamężną! — przerwał z komicznym przestrachem Zygmunt, w którym jednak przebijała nuta szczerego zawodu. — Oto mnie ubiegł tym razem Jurek; słowo honoru pani daję, że chciałem się już oświadczyć.

— O, o, o, o — zawołał pani Wanda, rumieniąc się. — Lecz możemy zostać przyjaciółmi i... wobec tego trzeba być grzecznym i słuchać mnie.

— Poddaję się — odparł Zygmunt, wznosząc ręce do góry. — Ale jakim cudem nauczyła się pani tak szybko i płynnie mówić po polsku?...

— Ależ ja wcale nie jestem Węgierką, — przerwała wesoło pani Wanda — ojciec mój jest Polakiem, choć ożeniony z Madziarką i pewno po niej, odziedziczyłam mój niepolski typ, lecz duchem należę do Polski.

— Ale i tak pani jest piękną — orzekł po namyśle Zygmunt, głosem bezapelacyjnym.

Młoda kobieta nie odrzekła nic, tylko pogroziła mu palcem. Lecz Zygmunt ciągnął niewzruszenie dalej:

— Ale czemu znów można przypisać, to pani ślęczenie nocami w aptece?

— W życiu istnieją różne niespodzianki — odparła pani Wanda — lepiej więc mieć fach w ręku i przyzwyczaić się do takich drobnych niewygód zawczasu.

—Ma pani zawsze rację — rzekł poważnie Zygmunt.

Jednak żywa pogawędka nie przerwała się na tem, lecz stoczywszy się na coraz inne tory, trwała w jaknajlepszej harmonji.

— — — — — — — — —

Jadąc już w dalszą drogę z Budapesztu do Belgradu, Zygmunt z przyjemnością wspominał chwile spędzone w obcem mieście w towarzystwie pięknej pani Wandy, żony jednego z najlepszych kolegów, który uprzedzony, miał go już oczekiwać na stacji w stolicy Jugosławji. Ale w duchu Zygmunt dziękował Bogu, że uchronił go od pokusy i pozwolił dotrzymać słowa danego umiłowanej przy wyjeździe z Warszawy.

Jerzy Safjan

Z działalności L. O. P. P.

MARSZ L. O. P. P.

W ubiegłym miesiącu ogłoszony został konkurs na „Marsz „L.O.P.P.". Marsz ten byłby przeznaczony do uświetniania wszelkich uroczystości lotniczych i ligowych, oraz imprez propagandowych Ligi, jak również dla orkiestr szkolnych i organizowanych przy poszczególnych Kołach L.O.P.P.

Jak więc widzimy z tego Liga Obrony Powietrznej Państwa na każdem polu interesuje się żywo młodzieżą dążąc do wychowania przyszłych pokoleń w należytem zrozumieniu ważności zagadnień lotniczych.

III OGÓLNOKRAJOWY KONKURS AWJONETEK L. O. P. P.

W roku bieżącym odbędzie się w Warszawie od 3 do 15 września III Ogólnokrajowy konkurs Awjonetek, czyli samolotów słabosilnikowych, zorganizowany przez Zarząd Główny L.O.P.P

W konkursie przewidziany jest udział dwudziestu kilku awjonetek krajowej konstrukcji z całej Polski. W czasie trwania konkursu, odbędzie się raid dookoła Polski na trasie: Warszawa — Brześć — Grodno — Lida — Wilno — Mołodeczno — Słonim — Biała Podlaska — Zamość — Łuck — Lwów — Lublin — Kraków — Katowice — Częstochowa — Łódź — Poznań — Grudziądz — Toruń — Warszawa. Trasa rajdu wyniesie około 2600 km.

I KONKURS LATAJĄCYCH MODELI WODNOPŁATOWCÓW

W dniu 15 b. m. odbędzie się I Konkurs Latających Modeli Wodnopłatowców zorganizowany staraniem Redakcji „Lotu Polskiego". Zwycięski zawodnik otrzyma w nagrodę puhar przechodni im. pułk. inż. Kazimierza Meyera. Ze względu, iż jest to pierwsza impreza w tym rodzaju, oraz, że zgłosiła się już duża ilość zawodników konkurs budzi zrozumiałe zainteresowanie. Jeśli konkurs pozyska dostateczne poparcie społeczeństwa Redakcja „Lotu Polskiego" projektuje urządzenie przyszłorocznego konkursu nad morzem, prawdopodobnie w Gdyni.

Dział rozrywek umysłowych

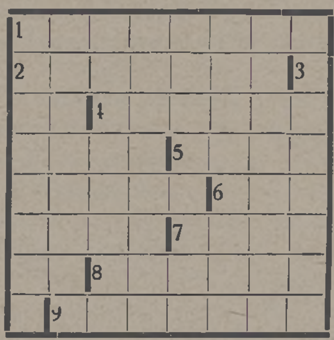
◆◆◆◆

KONKURS DLA ZNAWCÓW ARCHITEKTURY STAROŻYTNEJ.

W tekście niniejszego numeru zamieściliśmy zdjęcia znanych zabytków architektury starożytnej.

Należy podać co fotografje te przedstawiają.

ŁAMIGŁÓWKA.



Z podanych niżej sylab ułożyć 9 wyrazów i wpisać je kolejno według podanej w rysunku numeracji tak, by na każdą kratkę przypadało po jednej literze. Pierwszy rząd liter, czytany z góry na dół da nazwę rośliny gróskiej.

Znaczenie wyrazów: 1. Kraina w Alpach na granicy Włoch i Francji; 2. Rzeka w Afryce; 3. Rzeka w Szwajcarji; 4. Miasto powiatowe w woj. Lwowskiem; 5. Miasto w woj. Kieleckiem; 6. Miasto powiatowe w woj. Pomorskiem; 7, Port w Europie; 8. Miasto powiatowe w woj. Pomorskiem; 9. Miasto powiatowe w woj. Poznańskiem.

Sylaby: a, ar, bau, be, be, brzeg, cho, dja, ka, kar, la, lu, no, no, no, pol, sa, sę, sos, tar, tu, tu, wiec, zam. zi, zy.

ZAGADKA SZYFROWA.

16. 6. 19. 12. 13. — 3. — 18. 3. 4. 16. 3. 23. 9. 21. 15. 3. — 20. 3. 23. — 21. 7. 11. 14. 6. 8. 13. — 15. 13. 9. 5. 11. 17. 1. — 15. 19. 20. 3. 20. 21. — 20. 6. 15. — 21. — 20. 3. 4. 7. 3. 4. — 2. 10. 6. 20. 16. 13. — 9. 11. 7. 22. 1. — 18. 5. 6. 8. 13. —

Liczby należy zastąpić literami, które złożą się na słowa jednej ze znanych cytat z Mickiewicza.

Wyrazy pomocnicze:

1. 2. 3. 4. 5. 1.: inaczej czwarta część;
6. 7. 4. 8. 6. 9. 10. 11.: książka do nauki czytania;
12. 5. 13. 14.: inaczej koło;
15. 16. 11. 14. 11. 17. 1.: wielka ilość, mnóstwo;
18. 19, 20, 21, 8. 21. 22. 12.: gatunek sowy;
14. 23. 17.: ptak domowy.

Termin nadsyłania rozwiązań z bieżącego numeru upływa **5-go lipca.**

Na kopercie obok adresu dopisywać należy „ Rozrywki umysłowe".

Na nagrodę za rozwiązanie powyższych zadań przeznacza Redakcja książkę „W cieniu zapomnianej olszyny" — J. Kaden-Bandrowskiego.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU 8.

KONKURS DLA ZNAWCÓW LITERATURY.

Postaci podane w numerze 8 „Sternika" wzięte są z następujących dzieł: Sienkiewicz — Potop, Wyspiański — Wesele, Sienkiewicz — Za chlebem, Fredro — Damy i Huzary, Reymont — Pewnego dnia.

KRZYŻÓWKA.

Znaczenie wyrazów. Poziome: 2. tandeta, 3. Noe (wspak), 7. cor, 8. bek.

Pionowe: 1. kołodziej, 3. en, 5. rak (wspak), 6. kto.

Skośne: 1. (w lewo) Kack (wspak), (w prawo) kruk, 9. (w prawo) kur, 10. ko, 11. kiwa.

Z pośród rozwiązań zadań z numeru 8 do nagrody wylosowano rozwiązanie nadesłane przez Koło Polonistów „Odrodzenie" przy Gimnazjum im. Piusa XI w Różanymstoku koło Grodna. W nagrodę otrzymują Sieroszewskiego „Zamorski Djabeł".

KAŻDEGO CHŁOPCA

w wieku od lat 15 do 20 zainteresuje projekt imprezy turystycznej, jaką przy pomocy Państw. Urz. Wych. Fiz. organizuje Polska Y.M.C.A. w związku ze swym obozem letnim w Mszanie Dolnej, w Beskidach Zachodnich. Oto w pierwszej połowie sierpnia, w oznaczony dzień, zejdą się w obozie Y.M.C.A. dążące ze wszystkich stron Podhala drużyny po 3 chłopców, reprezentujące obozy p. w. , drużyny harcerskie, młodzież szkolną niestowarzyszoną i t. d.

Marsz ujęty jest w formę zawodów a zwycięstwo przypadnie tej drużynie, która wykaże się ilością przebytej drogi, regularnością marszu, wartościami krajoznawczemi dowolnie obranej trasy i t. p.

Uczestnicy tego „raidu" przybywający do obozu „Beskid" odpoczywają w nim jako goście Polskiej Y.M.C.A. Zwycięzców czekają liczne i piękne nagrody honorowe; wszyscy uczestnicy otrzymają żetony.

Zastanówcie się, czy nie wartoby dobrać się z kolegami w taką trójkę i wziąć udział w tak miłej, zdrowej i pożytecznej imprezie, by poznać najpiękniejszą część kraju — Podhale.

Organizatorzy chcą, by w naznaczonym dniu nie zabrakło przedstawicieli żadnego obozu, żadnej drużyny harcerskiej, żadnej szkoły. Pomóżcie im w tem przez liczny udział.

Informacyj udziela i zgłoszenia wraz z wpisowem w wysokości 15 zł. od drużyny przyjmuje Główne Biuro Związku Młodzieży Chrześć. Pol. Y.M.C.A. w W-wie, Marszałkowska 81-a.

NASTĘPNY NUMER „STERNIKA" POŚWIĘCONY OBOZOM WAKACYJNYM, KTÓRY UKAŻE SIĘ DNIA 25 b. m., BĘDZIE OSTATNIM NUMEREM PRZED PRZERWĄ WAKACYJNĄ.

„STERNIK" WYCHODZI 10-go I 25-go KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Al. Ujazdowskie 37 m. 23, Tel. 445-16, Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów we wtorki i piątki od 5—6 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł., 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski. Sekretarz red. M. Ochorowicz **Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.**

Warszawskie Zjednoczone Zakłady Graficzne „SPÓŁDRUK", Warszawa, ul. Długa Nr. 26. Telefon Nr. 260-19.